NR: 50

ŚWIATOWID

Nr 50

UŚMIECH FORTUNY.



Co miesiąc w Dyrekcji Państwowej Loterji Klasowej odbywa się ciągnienie. Dwie dziewczynki z Warszawskich Zakładów Dobroczynnych, niby szafarki szczęścia, w obecności członków Komisji Rządowej i Delegatów Miasta, ciągną jednocześnie losy z dwóch wielkich kół loteryjnych. Jedno koło zawiera wszystkie numerowane losy, drugie — zwitki z wygranemi. Jeden obrót koła, jeden ruch małych rączek i Fortuna wypowiada swój wyrok: obdarza majątkiem, stawką lub tylko... pozostawia nadzieję wygranej w następnych klasach. Na zdjęciu moment ciągnienia Głównej Wygranej w klasie I. w dniu 22-go listopada b. r., która padła na Nr. 15.849.

ECHA TYGODNIA.



CZY JESTEM ŁADNA? W Nadrenji bardzo popularną jest obecnie piosenka „Zgubiłem serce w Heidelbergu", kompozycji Freda Raymonda. Publiczność chcąc się przekonać, jak wygląda piękność z Heidelbergu, dla której wartoby stracić serce, urządziła konkurs, w którym pierwszą nagrodę wzięła dziewczyna, widoczna na zdjęciu. Ona to ma być wcieleniem urody i wdzięku dziewcząt z Nadrenji. Słuszność każe przyznać, że jest naprawdę ładna.



TRAGICZNY ZGON AKADEMIKA. We Lwowie został zabity przez awanturnika ś. p. Jan Grodkowski, student IV-go roku weterynarji. Pogrzeb jego miał charakter manifestacyjny.. — Na zdjęciu trumna ze zwłokami śp. Grodkowskiego, przy której trzymają straż honorową przedstawiciele korporacyj.



NA NUTĘ POKOJU. — Premjer Herriot podpisał pakt o nieagresji (na zdjęciu), zawarty niedawno pomiędzy Francją a Sowietami. Kto wie, czy nie będzie to jeszcze jeden świstek papieru, tyle warty, co pakt Kelloga, który miał usunąć wojnę na zawsze, a nie zapobiegł ani zbrojnemu starciu japońsko-chińskiemu, ani boliwijsko-paragwajskiemu.



NOWY POSEŁ AUSTRJACKI W WARSZAWIE. Do stolicy przybył p. Maks von Hofinger, aby objąć stanowisko posła Rzeczypospolitej austrjackiej w Warszawie. Nowy poseł ma opinję znakomitego dyplomaty i niewątpliwie przyczyni się do zacieśnienia przyjaznych stosunków pomiędzy Polską a Austrją.



KATASTROFA w OSLO. W stolicy Norwegji sikawka straży pożarnej zderzyła się z autobusem (na zdjęciu), który, rzucony na narożnik kamienicy, roztrzaskał się zupełnie. Kilka osób zostało ciężko rannych.

APEL W NOC LISTOPADOWĄ.



Pluton szkoły podchorążych z Ostrowii Mazowieckiej, w mundurach historycznych z r. 1831, przybył do Warszawy, aby w 102-gą rocznicę powstania zaciągnąć wartę pod Belwederem. Na zdjęciu podchorążowie, maszerujący na tle pomnika Jana Sobieskiego w Łazienkach.



Zmiana warty pod Belwederem w Warszawie.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

Z natury rzeczy z chwilą odzyskania naszej Niepodległości państwowej, zmienił się charakter obchodów pamiątkowych w rocznicę dawniejszych walk o wolność. Pókiśmy byli w niewoli, insurekcję Kościuszkowską, albo oba Powstania, Listopadowe i Styczniowe, wspominaliśmy jako żałosne momenty naszych dziejów, korząc się wprawdzie przed bohaterstwem inicjatorów i uczestników tych walk, ale ubolewając równocześnie nad bezskutecznością ich wysiłków i spoglądając z bolesną niepewnością w przyszłość naszego narodu. Teraz, gdy mamy znowu niezależne państwo Polskie, na dawniejsze łzy niema już miejsca. Niemniej jednak chwalebną jest rzeczą, iż pamięć dawniejszych walk orężnych o osiągnięte przez obecną generację cele zachowuje się, że zachowuje się może nie w tak szerokim zakresie, jak dawniej, lecz niemniej podniośle. Wśród tych Powstań zaś, Listopadowe, otoczone jest największą aureolą, której refleksem był przed dwoma laty obchód stulecia. Wszak to, co się zaczęło w pamiętną noc 29 listopada 1830 r., było ostatnim czynem zorganizowanej armji polskiej, a jeżeli zmarnowane zostało głównie skutkiem nieudolności wodzów, to ujawniło równocześnie bohaterstwo żołnierzy. Dzisiaj, mając na nowo zorganizowaną armję, wiemy już, że wady i niedomagania z r. 1830—31 w razie niebezpieczeństwa nie powtórzą się, a cnoty tych lat wystąpią jeszcze mocniej. Wyrazem łączności wypadków listopadowych z chwilą obecną, łączności ówczesnego wojska polskiego z dzisiejszem, jest rokroczne święcenie pamiątki owych minionych chwil przez dzisiejszych żołnierzy polskich, przybranych jednak w historyczne mundury ich poprzedników z przed stu laty.

UWAŻAĆ NA ZAKRĘTACH.



Niejaki Mr. Emil Gerhardt, który przez 25 lat, na pewnem skrzyżowaniu ulic w Chicago pełnił służbę, po każdej katastrofie automobilowej, jaka tam się wydarzyła, umieszczał odpowiednią tabliczkę z napisem w ogródku, urządzonym obok swego stanowiska (na zdjęciu). Zczasem ogródek ten rozrósł się i stał się osobliwością Chicago. Ogródki takie przydałyby się i u nas w Warszawie i w Krakowie, bo ludzie jeżdżą i chodzą, jak szaleni.

RADJO NA USŁUGACH KUCHNI.



W amerykańskich restauracjach hotelowych zamawia się obecnie potrawy nie zapomocą telefonu, ale przez radjo. W tym celu na najwyższem piętrze, gdzie znajduje się restauracja, zakłada się stację nadawczą z mikrofonem, powtarza zamówienia kelnera, które odbiera służba na dole. Przyrządzone w suterenach, zaś gdzie mieszczą się kuchnie, głośnik. Specjalna speakerka potrawy odsyła się windą elektryczną w ogrzewanej komorze. Pomimo więc, że pomiędzy salą restauracyjną znajduje się przestrzeń 200—300 metrów, goście są nadzwyczaj szybko obsługiwani.

POETA CUDÓW TATRZAŃSKICH.

W roku bieżącym mija 45 lat, od chwili, gdy w „Bluszczu" ukazały się „Sonety tatrzańskie" Franciszka Siły-Nowickiego. Sonety te, zwróciły odrazu uwagę krytyki na młodego poetę i przeszły do literatury, jako najpiękniejsze klejnoty poezji tatrzańskiej. Nowicki wyczarował w nich urodę Tatr i w nieskazitelnej, klasycznej formie, zamknął te wszystkie tęsknoty i porywy, które targały ówczesną młodzieżą. Uciekał w Tatry, gdzie zdaniem jego, były „tylko jeszcze wolności ołtarze".

Nowicki ukochał Tatry nietylko jako poeta, ale także jako jeden z pierwszych taterników. Przemierzył on tę pustynię skalną wszerz i wzdłuż i zapoczątkował budowę „Orlej Perci", najwspanialszego szlaku tatrzańskiego, biegnącego wzdłuż polskich Tatr. Drogę tę budował on wraz z ks. Gadomskim i prof. Pankiem. Towarzystwo Tatrzańskie uczciło ten czyn, zgadzając się na oznaczenie jednej z przełęczy tej Perci mianem Nowickiego.

Miłość do Tatr zaszczepił Nowickiemu jego wielki ojciec, przyrodnik o europejskim rozgłosie, prof. Uniw. Jag. ś. p. Maksymiljan, założyciel Towarzystwa Tatrzańskiego i autor projektu o ochronie kozicy i świstaka.

Chlubną kartę z działalności Nowickiego stanowi jego praca niepodległościowa. Jako akademik śmiało przekradał on się do Kongresówki z bibułą i bronią, narażając się na karę śmierci, względnie długoletnią katorgę. Ubrany w wypożyczone, wspaniałe bobrowe futro, z cygarem w ustach, udawał na granicy bogatego szlagona, udającego się do swoich krewnych. Prawdziwie sarmacka twarz i imponująca postawa, pozwalały mu grać z powodzeniem tę niebezpieczną rolę. Zakończeniem jego rewolucyjnej działalności było założenie w 1890 r. polskiej partji socjalistycznej. Relegowany z Uniwersytetu, pomimo, że rektorem Uniwersytetu był wtedy jego wuj, świetny znawca międzynarodowego prawa, prof. dr. Kasparek, musiał czekać długie lata, zanim pozwolono mu skończyć wydział filozoficzny i poświęcić się zawodowi profesorskiemu. Uczył w szkole realnej w Krakowie a przeszedłszy na emeryturę, dotąd w tem mieście mieszka.

Sonety Nowickiego, pomimo, że od ich pojawienia się minęło już 45 lat, są ciągle świeże i młode. Pulsuje bowiem w nich rytm wielkiej poezji. W kołach Podhalańców powstał projekt, aby Nowickiego uczcić jubileuszem a „Sonety Tatrzańskie" w nowem wydaniu przypomnieć publiczności.



Franciszek Siła-Nowicki, autor „Sonetów tatrzańskich" wedle płaskorzeźby prof. Błotnickiego z r. 1905.



Fragment Orlej Perci — Zamarła Turnia, szlaku tatrzańskiego, zaprojektowanego przez Nowickiego.



Ś. p. Stefan hr. Przeździecki, ambasador Rzeczypospolitej przy Kwirynale zmarł dnia 3-go grudnia 1932 r. w Warszawie. Poniżej dedykacja ś. p. hr. Przeździeckiego dla „Światowida" z 1928 r.

ZGON AMBASADORA PRZEŹDZIECKIEGO.



Z apartamentów ambasady polskiej w Rzymie; fragment sali balowej. Na ścianie obraz Correggia „Leda w kąpieli".

W Warszawie zmarł nagle na udar serca ambasador polski przy Kwirynale śp. Stefan hr. Przeździecki. Zgon jego odbił się bolesnem echem w całym kraju, ponieważ hr. Przeździecki należał do najwytrawniejszych polskich dyplomatów i znakomitych mężów stanu.

Urodził się w 1879 r. w Warszawie, w 1918 r. objął przedstawicielstwo Polski w Austro-Węgrzech. Od 1919 r. zajmuje stanowisko kierownika a potem szefa protokołu dyplomatycznego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1928 roku zamianowany został posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym przy rządzie królewsko-włoskim w Rzymie, a w rok później ambasadorem. Pracując niezmordowanie nad zbliżeniem polsko-włoskiem zaskarbił sobie sympatję w Italji!

Cześć Jego pamięci!



Sala srebrzysta ze zbrojownią w gmachu ambasady polskiej w Rzymie.

KRWAWE ŻNIWO NA POCZCIE W GRÓDKU JAGIELLOŃSKIM.



Naczelnik Urzędu pocztowego p. Marszalik, który pierwszy zaalarmował Magistrat, uniknąwszy cudem śmierci.



Klepsydra śp. Ludwika Kołacza, woźnego z Urzędu pocztowego w Gródku Jagiellońskim, który zginął bohaterską śmiercią na posterunku w obronie mienia państwowego.



Główne wejście do budynku, w którym znajduje się Urząd pocztowy i Skarbowy w Gródku Jagiellońskim. Bramą tą weszli bandyci.



P. Stankiewicz, telegrafista, który zasypany gradem kul szczęśliwie ocalał.

Zastrzelony bandyta Jurko Bereziński.



N. Staryk, bandyta, został ciężko ranny w nogę przez śp. woźnego Kołacza i dobity wystrzałem w głowę przez swoich towarzyszy, aby ich nie zdradził.

W ubiegły czwartek o godz. 16.50 popołudniu wtargnęło 8-miu uzbrojonych członków Ukraińskiej Organizacji Wojskowej do Urzędu pocztowego w Gródku Jagiellońskim pod Lwowem i steroryzowawszy personal urzędniczy strzałami rewolwerowemi, zrabowali 4.000 zł. Byli oni doskonale poinformowani o rozmieszczeniu biur, jakoteż o tem, że w tym dniu nadeszła do Urzędu kwota 50.000 zł. na wypłaty. Na szczęście kwotę tę odprowadzono do Urzędu skarbowego na chwilę przed napadem, dzięki czemu nie wpadła ona w ręce bandytów.

Bandyci bawili na poczcie wszystkiego 7 minut, a ofiarą ich padł pocztyljon ś. p. Kołacz, który wyszedł na korytarz i oddał strzał rewolwerowy, raniąc jednego z bandytów. Zaraz jednak potem padł ciężko ranny.

Zaalarmowana w międzyczasie, pośrednio przez Magistrat, przez naczelnika Urzędu p. Marszalika policja przybyła na miejsce wypadku w dwie minuty po ucieczce bandytów i przystąpiła natychmiast do akcji, którą utrudniała ciemna noc i gęsta mgła, tak, że na trzy kroki nic widać nie było.

W samym Gródku nikogo nie ujęto, znaleziono tylko bandytę Jurkę Berezińskiego, ciężko rannego w piersi, niewątpliwie przez swoich towarzyszy, którzy przez pomyłkę trafili go, ostrzeliwując wejście do gmachu pocztowego. Bereziński zmarł niebawem.

W następstwie zarządzonego przez policję pościgu za bandytami został zastrzelony przez bandytów starszy przodownik Kojat i posterunkowy Sługocki, którzy natknąwszy się w Glinnej Nawary na jakichś podejrzanych osobników zażądali od nich wylegitymowania się.

Obecnie większość terorystów znajduje się pod kluczem. Staną oni przed sądem doraźnym i niewątpliwie zostaną przykładnie ukarani.



Śp. przodownik Kojat, zabity w pościgu za bandytami.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA WYKONAŁA AGENCJA FOTOGRAFICZNA ŚWIATOWIDA.



Posterunkowy Sługocki, ciężko ranny w płuca w czasie pościgu za bandytami.



Widok Gródka Jagiellońskiego z wieży Magistratu. Fragment rynku.

Śp. pocztyljon Kołacz.



Przez ten otwór w oknie wtargnęli bandyci do pokoju kasowego i splądrowawszy biurko, zabrali gotówkę, leżącą obok na stole, w kwocie zł. 4.000.



Dr. Grabiński, adwokat, który jako klijent znajdował się w urzędzie pocztowym, został ranny w nogę przez bandytów.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



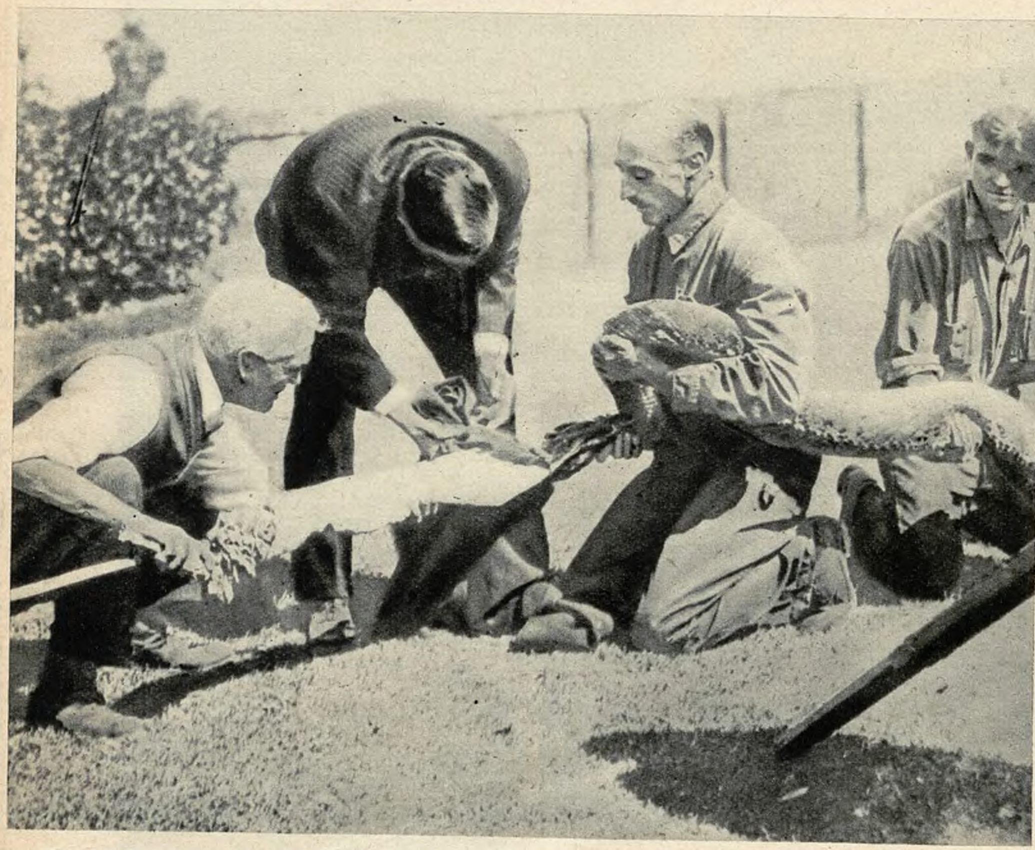
SZWECJA KU CZCI SWEGO KSIĘCIA. Do Stokholmu powrócił ks. Gustaw Adolf, najstarszy syn następcy tronu, ze swą małżonką Sybillą, z domu księżniczką Koburg-Gotha. Ślub ks. Gustawa Adolfa odbił się głośnem echem w całej Europie, ponieważ uświetnili go swoją obecnością aż trzej królowie i kilkudziesięciu książąt krwi, a nawet sam „car" Wszechrosji in partibus infidelium Cyryl. Na zdjęciu powitanie ks. Gustawa Adolfa w Stokholmie przez dzieci szkolne.



DOOKOŁA DŁUGÓW AMERYKAŃSKICH. Dnia 15 bm. przypada płatność raty od długów, zaciągniętych przez państwa europejskie w Stanach Zjedn. A. P. w czasie wojny. Większość państw liczyła, że Ameryka zgodzi się na odroczenie tej raty w związku z mającem nastąpić umorzeniem tych długów. Niestety propozycja ta spotkała się z odmową, zarówno prezydenta Hoovera, jak i Kongresu. Na zdjęciu premjer Herriot (po prawej) w rozmowie z Normanem Davisem, delegatem amerykańskim na konferencję rozbrojeniową, na temat redukcji długów.



WYŚCIGI STARUSZKÓW. Co roku pomiędzy Londynem a Bringhton odbywa się wyścig samochodów, w którym mogą brać udział tylko wozy najstarszych typów. Wyścigom tym przypatrują się tłumy ludzi, które z uśmiechem pobłażania patrzą na stare gruchoty, mknące do mety. Tego roku zwycięzcą został wóz z roku 1894, firmy Cannstadt-Daimler (na zdjęciu).



GŁODÓWKA PYTONA. Głodówki teraz są bardzo modne. Za przykładem Gandhiego idą całe gromady ludzi, którzy na znak protestu przeciwko różnym zarządzeniom i prawdziwym i urojonym krzywdom, oświadczają, że odtąd wstrzymują się od wszelkiego jadła i napoju, oczekując z rezygnacją śmierci. W ślady tych Gandhystów zaczynają wstępować i zwierzęta. Oto bowiem olbrzymi wąż pytom z ogrodu zoologicznego w San Diego w Kalifornji także rozpoczął głodówkę. Władze ogrodu podsuwały drzemiącemu olbrzymowi co najsmakowitsze kąski, nie reagował on na nie zupełnie. Dlatego postanowiono go żywić przemocą. Moment ten przedstawia fotografja.



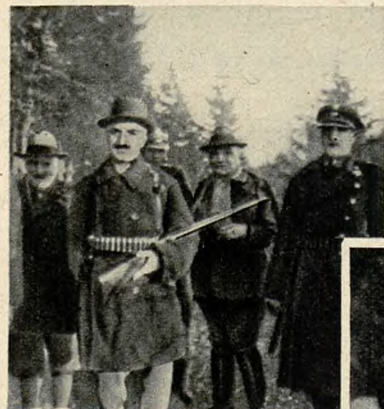
AMERYKA ODCZUWA CORAZ WIĘKSZE PRAGNIENIE. Prohibicja istnieje jeszcze ustawowo w St. Zjedn. A. P., zwycięstwo jednak Roosevelta podkopało zupełnie dalsze istnienie tego nieżyciowego prawa. Nie ulega wątpliwości, że niebawem rozpocznie się w Ameryce jawna sprzedaż piwa i wina. — W związku z tem przystąpiono do uruchomienia browarów, a największe na świecie winnice w Guasti w Kalifornji rozpoczęły fabrykację wina, (na zdjęciu) przygotowując zapasy w ilości 750.000 galonów.

FELJETON TYGODNIOWY.

LUDZIOM UCIECHA, ZAJĄCOM ŁZY.

Wczesny poranek dnia 26 listopada. A więc, jak się to mówi, grudzień „na nosie". Zdawałoby się, że jeśli nie śnieg, no to deszcz i inne „późnojesienne" atrakcje będą towarzyszyły łowom, urządzanym na Pomorzu przez ministra Papee dla uczczenia dostojnego gościa, p. hr. Hamiltona, teścia Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, Helmera Rostinga.

Lecz, jakby naprzekór przypuszczeniom pesymistów, lub może raczej dla szczególnego uprzyjemnienia łowów dostojnym myśliwym, pogoda była, jak na zamówienie.



Gospodarz polowania generalny komisarz Rzeczypospolitej w Gdańsku. minister dr. Papée.

Wczesnym rankiem wyruszyła wyprawa myśliwska z Gdańska. Pędzą, jeden za drugim samochody, noszące flagi i oznaki dyplomatyczne. Prowadzi minister Papee, jadąc ze swym gościem hr. Hamiltonem i z zastępcą swoim na stanowisku generalnego komisarza, radcą legacyjnym Lalickim.

Nowoczesna motorowa „kawalkada" szybko zbliża się do granicznych rogatek, szybko też te rogatki mija. Strażnicy graniczni są uprzejmi. Wiedzą, kto jedzie.

Na granicy nadleśnictwa „Wysoka" spotyka gości nadleśniczy p. Bełkowski. Melduje się komisarzowi generalnemu i niezwłocznie puszcza w ruch cały swój, zgóry dokładnie nastawiony aparat „zajęczobójczy". A więc przydziela do osoby ministra Papee i hr. Hamiltona po leśniczym, innych wysyła na stanowiska.

Naganiacze, stanowiący dość dobrze wyćwiczony oddział tytułujący się „obławą", są to ludzie z okolicznych wiosek. A więc z Żukowa, Babiego Dołu, Skrzeszewa i t. p. Są to ludzie cisi, skromni i łagodni. Jedni starzy i wąsaci. Twarze ich pełne wyrazu szacunku dla myśliwych. Uchylają czapek i kłaniają się nisko. Drudzy młodzi — gapiowaci. Ruszyli. Idą. Myśliwi, prowadzeni przez nadleśniczego i jego pomocników, wchodzą w gęstwinę leśną, krocząc gęsiego i na przestrzeni jakichś 400 metrów w regularnych odstępach, odrywając się kolejno od orszaku, rozstawiają się na stanowiskach strzeleckich. Jest to linja strzelecka.

Obława, czyli nagonka, prowadzona przez kilku doświadczonych leśników, idzie w oddali, tworząc linję równoległą do strzeleckiej. Ciszę leśną rozdziera głos trąbki. — To sygnał dla nagonki i zwrócenie uwagi myśliwych na rozpoczęcie miotu. Las napełnia się dźwiękami. Ni to suchy warkot karabinów maszynowych, ni to szczęk oddalonych, wzajemnie się rąbiących tysięcy szabel, ni to kotłowanie i wrzenie wody w rozgrzanem kotłowisku. To grają grzechotki naganiaczy, posuwających się wolnym krokiem, całą linją w kierunku linji strzelców.

Grzechotki te są instrumentem, znanym chyba na całym świecie. Prosta konstrukcja ich składa się



Grupa myśliwych, którzy brali udział w reprezentacyjnem polowaniu, urządzonem na Pomorzu przez ministra dra Papée. Od lewej: komandor Jacynicz, płk. Rosner, hr. Hamilton, minister Papée, prezes Czarnowski, komandor Czechowicz, radca Lalicki i nadleśniczy Bełkowski.

z drewnianego klocka lub deszczułki, o którą uderza zawieszony przy niej klocek lub gałka drewniana. Jednak odmian tego instrumentu naliczyłbyś tysiące. Każdy prawie wieśniak, chodzący w późnej jesiennej porze „wakacyj gospodarczych" z obławą myśliwską, konstruuje sobie własnoręcznie taką grzechotkę, wkładając w tą pracę całą duszę, serce i chłopską pomysłowość. To też spotyka się arcydzieła w tym zakresie. Zdarzają się grzechotki, posiadające zalety raczej murzyńsko-amerykańskiej orkiestry jazz-bandowej.

Rozmyślania nad genezą i konstrukcją tego instrumentu, zdolnego nieboszczyka postawić na nogi, przerywają się nagłem wybuchem nowych dźwięków. Z głębi lasu wyrwało się przeraźliwe wycie, hukanie i pokrzykiwanie. To naganiacze zauważyli spłoszonego przez nich kota. Au! Hu-haa! Pójdziesz! Ho-ho-ho-ho... niesie echo leśne odgłosy okrzyków podnieconych naganiaczy.

Gdzieś w dali, na zboczu, na początku linji strzeleckiej huknął strzał. Za nim drugi. W drugiej stronie zahuczało echo. Po chwili jeszcze jeden strzał i jeszcze dwa strzały. Wszystko ucichło. Naganiacze doszli do linji strzelców.

Stanęli jak wryci naprzeciwko myśliwych. Stanęli cisi, skromni, milczący, oczekujący na dalsze rozkazy. Odgłos trąbki ruszył ich z miejsca. Ruszyli w zawczasu im wskazanym kierunku zbiórki. Myśliwi zarzucili strzelby na ramiona i ochoczo gawędząc pośpieszają też na miejsce zbiórki. Rozpoczyna się następny miot.

Znów nadleśniczy, towarzysząc myśliwym, idzie za leśniczym. Obaj czuwają nad tem, aby strzelcy, z generalnym komisarzem i jego zagranicznym gościem na czele, mieli jaknajlepsze warunki polowania. Wskazują nowe stanowiska, kierunek nagonki i miejsce następnej zbiórki... Znów podniecające, wywołujące szybsze kołatanie serca, wycie naganiaczy tropiących zwierzynę, znów suche trzaski strzałów oddanych do spłoszonych kotów. Znów głuche echo leśne, potrójnie powtarzające wszystkie dźwięki i odgłosy, znów wołanie trąbki i marsz na nowe stanowiska następnego miotu.

Jeden miot idzie za drugim. Trąbki grają, grzechotki rechoczą, strzały hukają i trzaskają po lesie. Wreszcie przerwa.

Myśliwi zacierają ręce. — Polowe śniadanko z tradycyjnym myśliwskim bigosem, jest czemś, co stanowi jakby okrasę wszystkich łowów. — Jest miłem i „smakowitem upiększeniem" tego, co już samo w sobie jest pięknem dla ludzi — wyznawców myśliwskiej ochoczej potrzeby.



Przy żubrówce i bigosie.

Z wesołym rozgwarem śpieszą więc myśliwi na polankę, gdzie służba leśna poustawiała już ławy i stół. Służba ministra Papee krząta się przy strawie i polowej zastawie. — Wesoło trzaska ognisko podgrzewające aromatyczny, bogato okraszony bigos. „Symfonja leśna a nie bigos!" — wyrwał się entuzjastyczny okrzyk jednemu z myśliwych. Komisarz generalny, jako miły, uprzejmy gospodarz, zachęca do napicia się żubrówki. Cudzoziemski gość nie gardzi tym charakterystycznym polskim trunkiem.

Mało powiedzieć, nie gardzi, chwali go sobie. Ba, nawet wyraża zachwyt. Minister objaśnia go wskazując na apetyczne źdźbła trawki żubrowej, zieleniejącej się w butelce: „Cette eau-de-vie est faite a base de l'herbe de Pusta de Białowieża". Hr. Hamilton wyraża grzecznościowe, pełne podziwu „Aha!" i wypija jeszcze kieliszek tego niebiańskiego trunku.

Przy stole odchodzi „strzał za strzałem" — kieliszek za kieliszkiem. Jednoczesne wychylenie kieliszków jest salwą. Nie zadużo jednak tego, tylko tyle, ile potrzeba dla lepszego apetytu i na rozgrzewkę. Sypią się dowcipy. Żarty przeplatają się z urywkami „poważnej" rozmowy w rodzaju: „Wyśmienity bigos" — „może jeszcze żubróweczki" i t .d. — To czarujący swoją towarzyskością i ujmująca grzecznością zastępca komisarza generalnego radca Lalicki wyręcza gospodarza polowania, ugaszczając gości i wytwarzając wesoły beztroski nastrój.

Trąbka woła na stanowiska. Zaczynają się dalsze mioty. Pogoda nadal cudna. Rzekłbyś, nie listopad, tylko marzec lub kwiecień. Słońce świeci tyle, ile mu się według kalendarza świecić należy. Miot za miotem mija. Strzelcy zmieniają teren i zajmują i opuszczają stanowiska. Strzelają, zabijają i cieszą się. Zasmucają osierocone rodziny leśnych szaraków.

Jeszcze „strzały", innego rodzaju. To strzelanie aparatu fotograficznego. Kilka „knipsnięć" tak, kilka owak. A więc grupa przy bigosie, grupa z trofeami, zdjęcie w marszu itp.

Lecz wszystko złe i dobre ma zawsze swój koniec. Rychlej zazwyczaj przychodzi koniec dla rzeczy dobrych i miłych. To też i w tym wypadku wzięliśmy wreszcie ostatni miot. Polowanie skończone. Robi się chłodno, a więc jednak to jesień.

Zajeżdżają limuzyny. Uściski dłoni, podziękowania. Salutowanie trzymającego się na uboczu, skromnie, personalu leśnego, i odjazd do Gdańska.

W chwili, gdy myśliwi rozradowani, weseli, zadowoleni ze spędzonego na powietrzu, wśród przyrody i w miłem towarzystwie czasu ściskają sobie ręce, służba leśna pod czujnem okiem nadleśniczego znosi trofea i ładuje szaraki do wszystkich samochodów. Jeszcze ostatnie ukłony, jeszcze podziękowania pod adresem ministra Papee, gospodarza tej miłej imprezy, dziękczynne wyrazy dla pomocnego mu w organizowaniu polowania komandora Jacynicza i jazda do domów.

Władysław Kocianowski (Gdańsk).

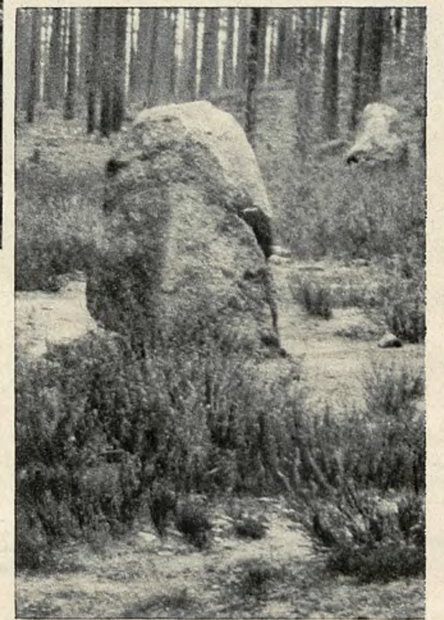
NOWE MUNDURY PIECHOTY ANGIELSKIEJ. Wprowadzono je na próbę w niektórych oddziałach. Zbliżają się one krojem do ubrań sportowych. Charakterystyczną cechą ich jest wykładany kołnierz, niekrępujący szyji. Nakrycie głowy stanowi lekki kask, noszony dotychczas przez myśliwych i rybaków. Znikły także na nogach owijacze, używane dotychczas we wszystkich armjach europejskich. Okazały się one bowiem niepraktyczne, nieporęczne i niehigjeniczne. Na zdjęciu piechur angielski w nowym mundurze.

NAJWIĘKSZA SENSACJA ZIEM POLSKICH.

Planetarjum na Pomorzu z przed 7.000 lat.



Jeden z dwunastu kręgów kamiennych, stanowiących planetarjum przedhistoryczne, znajdujące się we wiosce Odry, w Borach Tucholskich na Pomorzu. Pochodzi ono z przed 7.000 lat. *Zdjęcia fot. B. Szklarskiego — Starogard.*



Olbrzymi głaz, stojący w pośrodku każdego z dwunastu kręgów kamiennych.

We wiosce Odry pod Czerskiem (powiat Chojnice) w borach tucholskich na Pomorzu, zachował się do dziś dnia ciekawy zabytek astronomiczny z przed 7.000 lat, który jest jednym z najkompletniejszych tego rodzaju zabytków nietylko w Polsce, ale i w całej Europie.

Prasłowiańskie planetarjum w Odrach składa się z 12-tu kół kamiennych, ustawionych według czterech stron świata. Dwanaście kamiennych kół przedstawia dwanaście znaków zodjakalnych. Każdy z dwunastu kręgów kamiennych składa się z kilkudziesięciu pionowo stojących olbrzymich głazów polnych, w pośrodku których stoi jeden wielki kamień.

Poszczególne te koła służyły, jako kalendarz słoneczny, całe zaś planetarjum do obliczania czasu, pór roku i zaćmień słońca i księżyca.

Pojęcia astronomiczne ludów, zamieszkujących w tych odległych czasach bory tucholskie, wykazują wprost zdumiewające podobieństwo do zasad astronomji egipskiej, babilońskiej i chińskiej, które, wedle teorji astronoma niemieckiego, Roberta Henselinga, pochodziły z jednego źródła, a mianowicie z Atlantydy.

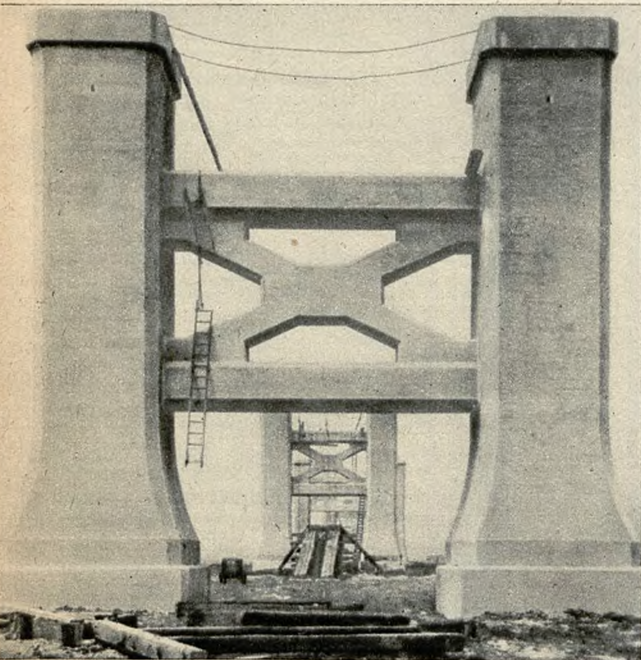
Obok planetarjum w Odrach znajduje się olbrzymie cmentarzysko przedhistoryczne, składające się z 25 kurhanów. Groby te, dochodzące do 2 m. wysokości i 20 m. szerokości, usypane są na powierzchni ziemi, pod którą znajduje się sterta kamieni i właściwy grób.

Andrzej Szklarski (Starogard).

AUTOSTRADA, KTÓRA KOSZTOWAŁA 40,000.000 DOLARÓW.

Podstawą rozwoju automobilizmu są przedewszystkiem dobre drogi. Od ich stanu i sieci zależy obronność państwa, rozwój turystyki i dobrobyt mieszkańców kraju. Dobre drogi są także najlepszą legitymacją dobrych rządów. dróg, przeznaczonych wyłącznie dla ruchu automobilowego. Ostatnim takim cudem techniki jest autostrada, łącząca Jersey-City z Newarkiem. Zbudowana na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią, jako olbrzymi wiadukt betonowy, przebiega ona nad rzekami Pasaic i Hackenssack, oraz nad miastami. Automobilista, mknący tą drogą, może rozwijać największą szybkość. W takich warunkach jazda staje się naprawdę przyjemnością.

Autostrada ta kosztowała 40,000.000 dolarów.



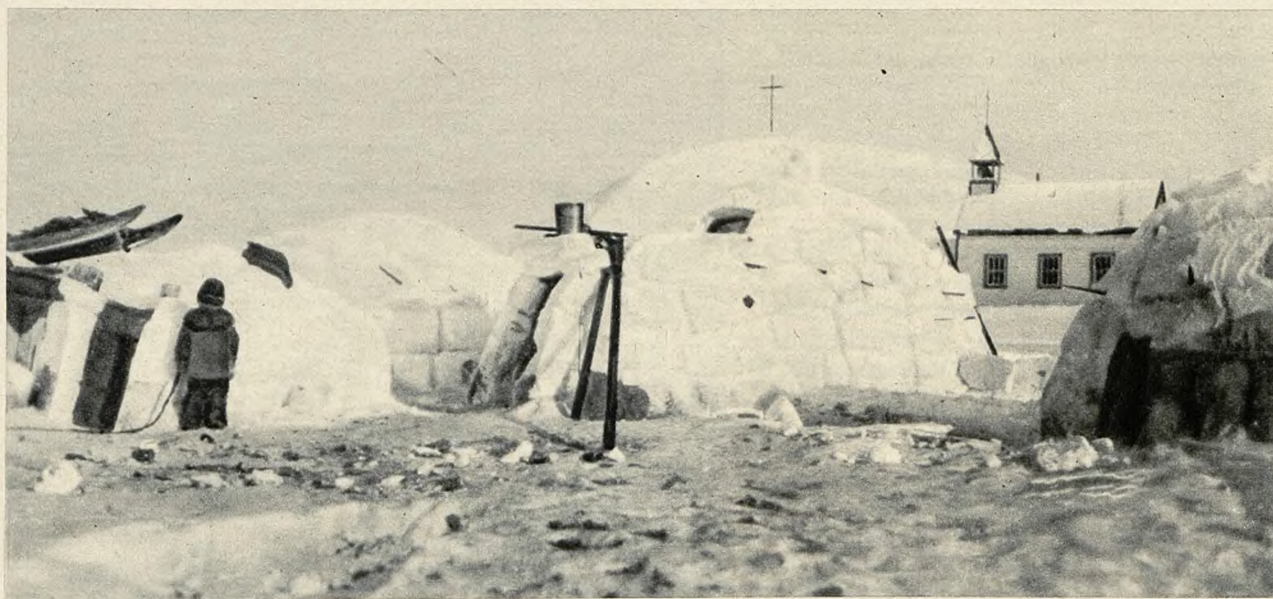
Betonowe filary, na których zbudowana jest nowa autostrada, łącząca Jersey-City z Newarkiem w St. Zj. A. P.

Rozumie to n. p. doskonale Mussolini i dlatego prowadzi energiczną polityke drogową, której rezultatem są monumentalne szosy i autostrady. Rozumieją to Niemcy i dlatego, nawet w okresie kryzysu, nie omieszkają łożyć miljonów na autostrady. Także Ameryka pokrywa się z roku na rok coraz lepszą i doskonalszą siecią

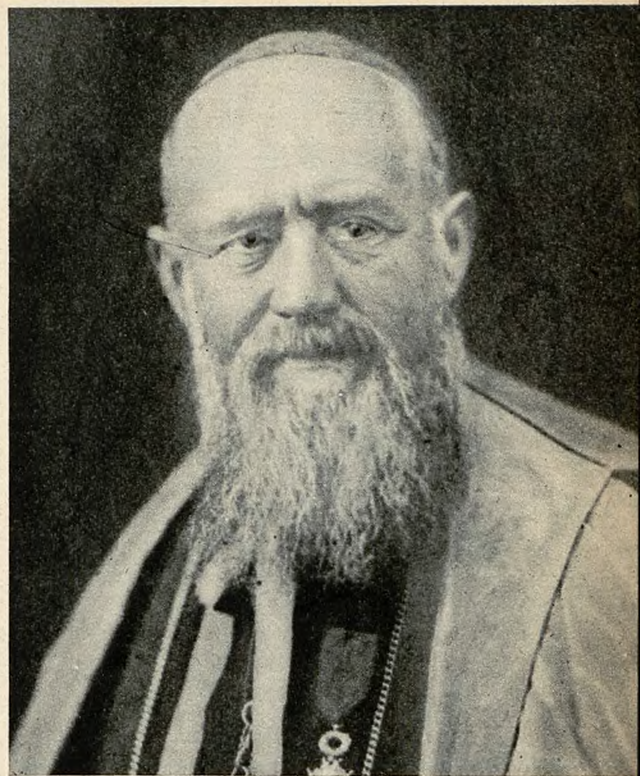


Widok z aeroplanu na autostradę Jersey-City—Newark. Biegnie ona na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią. Jest to właściwie olbrzymi wiadukt, przerzucony nad domami. *Zdjęcia Ag. C. Dellus — Nice.*

BISKUP BIEGUNA PÓŁNOCNEGO W POLSCE.



Wioska eskimoska, naokoło misji w Ponds Julet w północnej Kanadzie. Na prawo widoczny kościół, obok domki Eskimosów, kształtu kulistego, ulepione ze śniegu, zwane iglonami.



Ks. biskup Gabrjel Breynat, wikarjusz apostolski okręgu kanadyjskiego Mackenzie i biskup diecezji, do której należy także Biegun północny, przybył obecnie do Polski, aby wyszukać nowych kandydatów dla pracy misyjnej wśród Indjan i Eskimosów w okolicach podbiegunowych.

W Polsce bawił ostatnio niezwykle dostojny gość. Przybył bowiem do Poznania ks. biskup Gabryel Breynat, zwany powszechnie biskupem bieguna. Bo też rzeczywiście diecezja tego biskupa-misjonarza rozciąga się od 54 stopnia szerok. geogr. aż do samego bieguna północnego. Olbrzymi szmat ziemi, rozmiarami równający się blisko całej Europie, oddany jest pieczy duchownej drobnej garstki bojowników idei, którzy nie zważając na żadne przeszkody, przebiegają dziki ten kraj, niosąc jego biednym mieszkańcom prawdziwą wiarę.

Działalność misyjna ks. biskupa Breynata, jak również i wielu innych duchownych, przeważnie Francuzów, należących do Zgromadzenia OO. Oblatów, to jedno pasmo bohaterstwa. Niesienie Słowa Bożego wśród wiecznych lodów i śniegu, zdala od wszelkiej kultury, ileż cierpień i trudu, oraz poświęcenia wymaga od tych pełnych idei ludzi. A jednak od lat 90 idą misjonarze Oblaci z wiarą Chrystusową, równocześnie niosąc kulturę w te krainy, które jeszcze do niedawna wydawały się, jakby przez Boga zapomniane. Krótka to stosunkowo działalność, a jakżeż zmieniło się już dzisiaj w tych dalekich stronach, gdzie jeden mieszkaniec przypada na 250 klm. Dziesiątki tysięcy nawróconych na katolicyzm Indjan i Eskimosów żyją innem życiem. Poczuli się naprawdę ludźmi, niegorszymi od tępiących ich przez wiele stuleci białych najeźdźców, a to dzięki właśnie poświęceniu i męczeństwu białych misjonarzy, który tym polarnym mieszkańcom okazali serce i miłosierdzie, widząc w nich swych braci.

To też gdy zawitał do nas jeden z tych cichych bohaterów północy, ks. biskup Breynat, trudno było oprzeć się pragnieniu, by go nie zobaczyć, poznać i usłyszeć Jego opowiadań o tych krainach. Dzięki uprzejmości ks. redaktora Pawołka miałem możność zetknąć się z ks. biskupem.

Ks. biskup Breynat, starzec 65-letni, z długą, siwą, patrjarchalną brodą, o niezwykle regularnych rysach, to postać jakby żywcem z biblji wzięta. Uderza ks. biskup jakiemś naprawdę nieziemskiem dostojeństwem, z głębokich mądrych oczu bije łagodność, dobroć i słodycz. — Z miejsca przykuwa do siebie człowieka, który też pozostaje pod jego wpływem. Mimo, że ks. biskup znajdował się tuż przed swym wyjazdem do Paryża, chętnie zgodził się na chwilę rozmowy, wyrażając miłe zdziwienie, że w Polsce prasa codzienna wykazuje tyle zrozumienia i zainteresowania dla działalności misyj katolickich. W krótkich słowach podaje swe dane biograficzne. Pochodzi z Valence, tamże ukończył seminarjum, następnie studjował w Lyonie, Aix i Romans. Wstąpiwszy do Zgromadzenia



Biskup Breynat (pierwszy po prawej) wita się z misjonarzami w czasie objazdu placówek, powierzonych jego opiece.

Oblatów otrzymał w lutym 1892 r. święcenia w Liege, a dwa miesiące później wyjechał do późniejszej swej diecezji w Athabaska-Mackenzie. Od tego też czasu, a więc zgórą lat 40, przebywa wśród „zjadaczy karibu“, Indjan, żywiących się specjalnym gatunkiem renifera, oraz Eskimosów. Nie sposób w krótkim artykule dziennikarskim oddać choćby w przybliżeniu treść opowiadania ks. biskupa o warunkach pracy misyjnej wśród tych północnych pogan. Najfantastyczniejsza wyobraźnia nie jest w stanie wymyśleć takiej grozy, jaką tam jest codzienna, naga, przerażająca rzeczywistość. Wszystko jakby sprzysięgło się przeciw garstce bohaterskich misjonarzy. Najgroźniejszym wrogiem to natura, bo z ludźmi mimo wszystko można sobie dać radę. Walka z szalejącemi żywiołami, które niewiedzieć kiedy rozpoczną swój niszczycielski pochód, jest trudna, wymagająca naprawdę nadludzkiej siły, zdrowia i nerwów. A jednak — z zapałem utrzymuje ks. biskup — nic nie jest w stanie powstrzymać jego i jego współpracowników w niesieniu prawdziwej wiary choćby na sam biegun, bo tak długo nie spoczną, aż ostatni Eskimos, czy Indjanin nawrócony zostanie.

Teren działalności ks. biskupa Breynata, wikarjat apostolski w Mackenzie, jest olbrzymi, przewyższa bowiem wielokrotnie Polskę. Do pomocy ma zaledwie 35 księży. Zima upływa wikarjuszowi apostolskiemu na odwiedzaniu misyj swej diecezji, a misjonarzowi, proboszczowi na odwiedzaniu swej parafji, którą tworzą trzy na odwiedzaniu swej parafji, którą tworzą trzy. czujących. Te podróże misyjne wymagają niezwykłego samozaparcia się i olbrzymiej siły woli. Pierwszą swą podóż zimową odbył jeszcze jako młody misjonarz przy 45 do 55 stopni poniżej zera. Udawał się do Nativite na roczne rekolekcje. Droga biegła po zamarzniętem jeziorze Athabaska, długości 280 klm. Nieprzyzwyczajony do podróżowania sankami, zaprzężonemi w psy, po kilkudniowej męczącej podróży, ciężko odmroził nogę, gangrena objęła już duży palec i tylko szybka operacja mogła uratować życie choremu. Wreszcie po długim czasie przybyli do misji, gdzie ks. biskup Grouard, nie namyślając się długo, starą brzytwą amputował mu palec aż po staw, łączący ze stopą i to bez chloroformu, lub kokainy. Ta przygoda nie wpłynęła bynajmniej na energję ks. biskupa Breynata, gdyż mimo swego kalectwa w czasie swego pobytu w Fond-du-Lac odbył tę samą drogę na saniach, lub rakietach kilkadziesiąt razy.

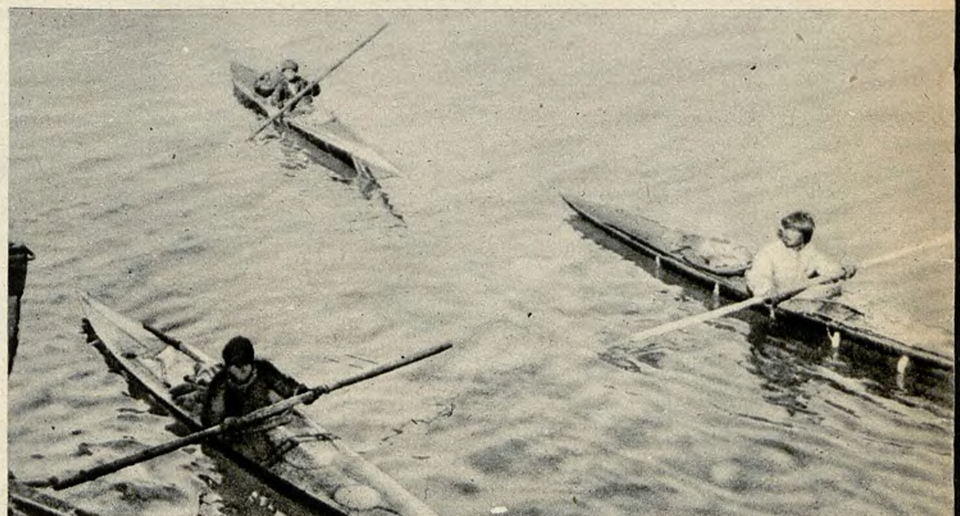
„Zjadacze Karibu“, wśród których znaczną część swej działalności duszpasterskiej przepędził ks. biskup, są naogół ludźmi bardzo potulnymi i chętnie przyjmują słowo Boże. Na-

(Ciąg dalszy na stronie 12-tej).



Głównem pożywieniem mieszkańców okolic podbiegunowych są ryby. Poławia się je pod lodem, który niekiedy dochodzi do 3 metrów grubości.

Wszystkie zdjęcia ze zbiorów ks. biskupa Breynata.



Kajaki Eskimosów (na zdjęciu) opanowały cały świat. Nikt jednak nie umie się niemi tak mistrzowsko posługiwać, jak Indjanie i inne ludy, zamieszkujące krainę wiecznych lodów.

BISKUP BIEGUNA PÓŁNOCNEGO W POLSCE.



Odświętny strój Eskimoski. Lud ten odznacza się wielkim zmysłem zdobniczym. Szczególnie poszukiwane są na rynkach europejskich i amerykańskich eskimoskie wyroby ze skóry.

(Ciąg dalszy ze strony 11-tej).

wróceni, są szczerze przywiązani do religji. Są to wielkie dzieci, a że do niedawna nie mieli styczności z białymi, przed którymi uciekali, nie ulegli demoralizacji i zachowali swą poczciwą naturę. Nędza wśród nich jest olbrzymia, zwłaszcza w roku głodu, gdy renifery poszły innym szlakiem, a więc polowanie zawiodło. Wówczas z najodleglejszych zakątków ciągną setkami mil do siedzib misyj, gdzie misjonarze dzielą się z nimi swojemi zapasami, opatrują ich rany i koją ich cierpienia. Wdzięczność tych pierwotnych ludzi dla misjonarzy jest naprawdę wielka. Indjanin powierza się w zupełności i chętnie gości u siebie kapłana, który równocześnie jest dla niego sędzią, lekarzem, lub pisarzem. To też ks. biskup bardzo często urządza tego rodzaju odwiedziny w dzikich obozach i polanach, prowadząc to koczownicze apostolstwo do najodleglejszych zakątków kraju, bez względu na pogodę, a że dziwnem zrządzeniem losu w czasie tych wędrówek towarzyszą mu największe niepogody, nazwany został przez pewnego pastora protestanckiego „The bishop of the Wind" — biskupem wichru.

Jakkolwiek naogół praca misyjna wśród przeważającej części mieszkańców nie natrafia na szczególne trudności — to jednak zdarzają się dość niebezpieczne, nawet dla życia misjonarza momenty. Indjanin, czy Eskimos jest zabobonny, starają się o to czarownicy, którzy też w misjonarzach widzą swych największych wrogów. Trzeba wiele przytomności umysłu, aby znaleźć natychmiast wyjście z często bardzo zawiłej sytuacji, w jaką wprowadza misjonarza czarownik. Opowiada więc ks. biskup o przygodzie pewnego misjonarza, którego zwalczał jeden z czarowników. „Jeżeli rzeczywiście twój Bóg jest tak silny i wszystko mogący, to zrób to, co ja robię". Mówiąc to, począł łykać rozżarzone węgle. Misjonarz nie stracił bynajmniej kontenansu i odparł: „To, coś ty zrobił, to drobnostka, pokaż tę sztukę, jaką ja potrafię". I w tym momencie wyjął sztuczną szczękę z ust, pokazując ją obecnym. Na takie dictum czarownik zaniemówił, a gdy na wezwanie swych ziomków nie potrafił uczynić tego samego, przepędzili go, stając się następnie gorliwymi słuchaczami słowa bożego.

Jak już wspomnieliśmy, warunki atmosferyczne są najgroźniejszymi wrogami misjonarzy. Przez 9 miesięcy cały kraj spowity jest śniegami i lodami. Mrozy przekraczają przeciętnie 50 stopni poniżej zera. — Ustawiczne niemal burze i straszliwe wichry czynią z zimy w Athabaska-Mackenzie najmroźniejszą ze wszystkich zim kontynentalnych. W te więc mroźne dnie a raczej noce, gdyż panuje stała ciemność, wyruszają bohaterscy misjonarze do rozrzuconych po całym kraju osad tubylców, niosąc im słowa pociechy, pomoc lekarską, a niekiedy ratując ich od śmierci głodowej.

W maju rozpoczyna się wiosna, śniegi topnieją, w czerwcu lody pękają i nastaje lato, które trwa tylko przez lipiec. Lato to jeszcze bardziej daje się we znaki. Panują nieprawdopodobne upały, termometr pokazuje prawie stale ponad 40 stopni powyżej zera. Słońce operuje niezwykle intensywnie, nie zachodząc wcale nad polem arktycznem. Cała natura budzi się szybko do życia, wegetacja roślin odbywa się niemal w oczach. W przeciągu kilku dni liście rozwijają się, kwiaty zawiązują owoc i w kilka tygodni później dojrzewają, naturalnie o ile wczesny mróz nie zwarzy wszystkiego. Najgorszą plagą lata to miljardy komarów, obsiadają one wszelkie żywe istoty, przedewszystkiem białych. To też biali, bardziej czuli na bolesne ukąszenia, zakładają w swych chatach moskietery, jak na południu przed moskitami. Oprócz tych t. z. „maryngwinów" dotkliwie dają się odczuć osy i bąki, a przedewszystkiem drobniutkie „bruloty", dla których najcieńsza nawet moskietera jest jeszcze za gruba. Przenikają one wszędzie, przez ubrania, bieliznę, a nawet koce, a ich ukąszenie pali jak ogień. Wśród tej naprzemian przyjaznej, to znów wrogiej przyrody rozwija swe posłannictwo misjonarz — zakończył tę interesującą opowieść ks. biskup Breynat.

Dr Wacław Szperber (Poznań).

Typowy krajobraz polarny.



Lis srebrny z Alaski. Skóry dzikich zwierząt są nad Morzem Lodowatem monetą obiegową i ważnym artykułem eksportu.



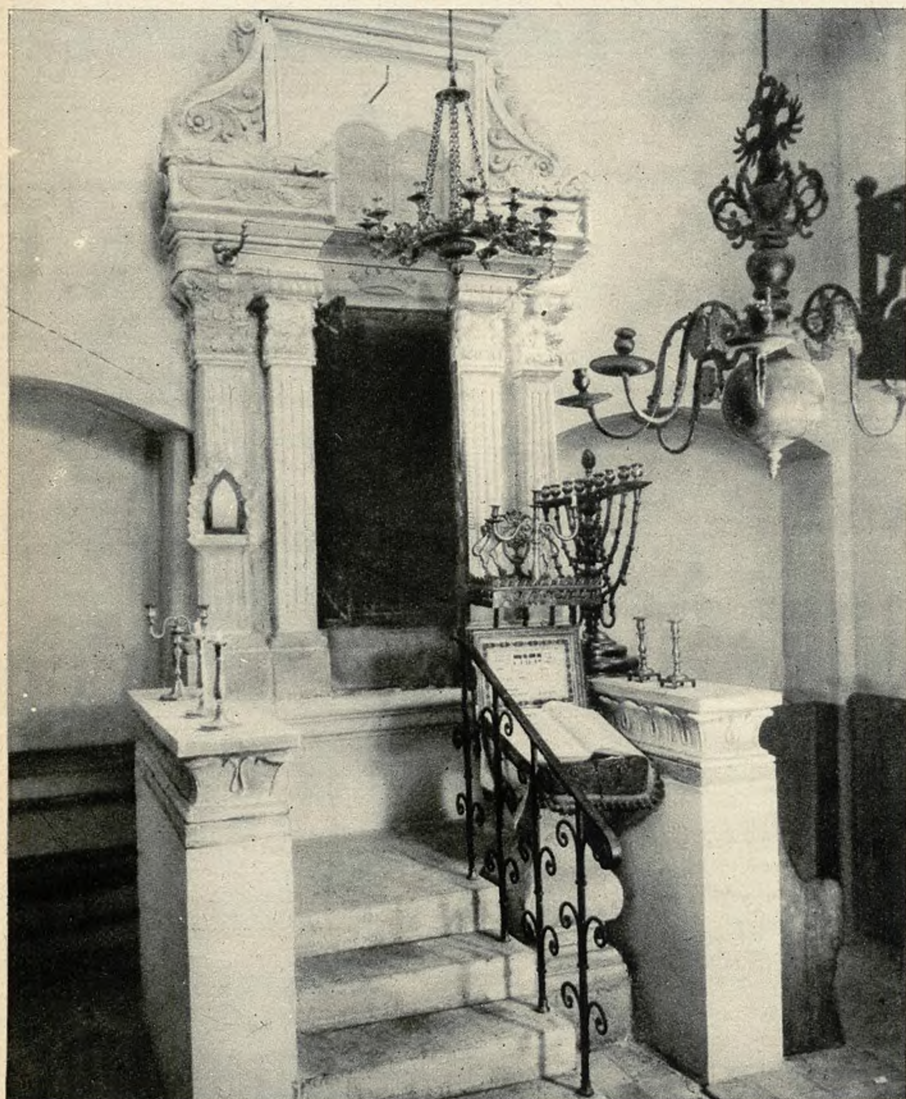
Mały Eskimos z Lettie Harbour (Mackenzie). Stoi on na kamienistym ich terenie, w t. zw. „Ziemi Nieurodzajnej".

WSZYSTKIE ZDJĘCIA ZE ZBIORÓW KS. BISK. BREYNATA.



Pies polarny. Psy te przebiegają z sankami bezkresne pustynie lodowe i wiernie służą swoim panom.

ODNOWIENIE ZABYTKOWEJ SYNAGOGI W KRAKOWIE.



Ołtarz wraz z pultem kantora w synagodze „Remu“ w Krakowie.

Przy ul. Szerokiej w Krakowie znajduje się zabytkowa synagoga, pochodząca ze schyłku średniowiecza, związana z nazwiskiem słynnego rabina Remu, który żył w XVI-tym wieku. Z inicjatywy artysty-malarza Leopolda Pilichowskiego przystąpiono do odnowienia tej świątyni, przy pomocy prof. Szyszki-Bohusza, który nie skąpił fachowych rad, oraz konserwatora wojewódzkiego p. Tretera. Pracami nad odnowieniem synagogi kierował bezinteresownie architekt Herman Guttmann, kilka szczegółów architektonicznych, m. i. główne wejście zaprojektował inż. Edward Kreisler.

Szkoda tylko, że nie usunięto przybudówki, która przysłania fasadę synagogi. Niewątpliwie, gdy znajdą się pieniądze, przybudówka ta zostanie zburzona a wtedy piękno architektoniczne synagogi „Remu“ wystąpi w całej okazałości.



Skarbonka synagogi „Remu“.

PARYSKIE ŚWIĘTO „KATARZYNEK“.

Zwykły, blady dzień późnojesienny w Krakowie nagle przywiódł wspomnienie jasne, żywe, głośne. Spojrzałem na kalendarz: dzisiaj św. Katarzyny... Mimowoli oczy pobiegły przez szare szyby okien, patrząc w mgłą lekką zasnutą perspektywę ulicy, doszukując się odpowiednika tego dnia, do którego ujrzenia w wesołych i wspaniałych ramach Paryża przyzwyczaiły się przez tyle lat... Ale krakowskie ulice były wtedy jak zawsze jednako spokojne i monotonne...

A tymczasem srebrzysta przędza wspomnień ukazuje piękny obraz z przeszłości — święto „Katarzynek“ w Paryżu. Jest to dzień wesela i radości, dzień świąteczny midinetek, pracownic wielkich magazynów paryskich i dziesiątek tysięcy sklepów stolicy nadsekwańskiej, robotnic rozmaitych zakładów — wszystkich — ale pod jednym warunkiem: że nie przekroczyły jeszcze 24 lat życia. A więc w ten sposób zachowano dla tego dnia najpiękniejsze piętno, najbłyskotliwszą barwę: młodość.

Midinetki, królowe tego dnia w Paryżu, w strojach długo przygotowywanych, pięknobarwnych, wesołe i głośne, nadają kwietny charakter mglistym ulicom jesiennego miasta, w którem jednak o każdej porze roku panuje wiosna — wiosna życia... W pochodzie przez bulwary, przez Montmartre od Montparnasse'u i Quartier Latin począwszy, ciągną za sobą pośmiech i piosenkę i oklaski i tłumy niezliczone, wśród których oszołomione oczy etranżerów błyszczą gorączką zdziwienia i ukochania miasta, które na każdym kroku podsuwa coś nowego, nie pozwalając się nudzić, ni martwić.



Mer wolnej komuny Montmartre p. Leon Lerinville całuje w rękę królowę midinetek p. Simonę Porgnard. *Wide-World Photos — Paris.*

A gdy zapadnie wieczór, omroczony rdzawo-rudą łuną od tysięcy świateł odbitych we mgle nadsekwańskiej, we wszystkich salach tanecznych wesołych dzielnic Paryża, a przedewszystkiem w dzielnicy Łacińskiej, uderzają orkiestry i zaczynają się tańce, paryskie tańce uścisku i pocałunków, tańce miłości, będącej lub tej, która być musi. Pod lampjonami, w wylewającej się na ulice melodji dancingowej, tańczą pary, uchwycone w ciasny splot zmysłowego rozmarzenia, tańczą „po parysku“, nie zważając na „pas“, na giętkość linji tanecznej, na pokaz — lecz tańczą dla siebie, parami dla siebie by odczuć bicie swych serc i kłaść wargi na wargach pod wtór słodkiego tango...

Nazajutrz dzień normalny zastanie „Katarzynki“ przy ladach tysięcy sklepów i magazynów paryskich. A potem tylko wspomnienie przez cały rok będzie rozmarzać w oczekiwaniu powrotu ich święta, jednego z najmilszych w Paryżu dni...

w. z.

LISTY Z ABISYNJI.

KARY, MROŻĄCE KREW W ŻYŁACH.



Przestępca, trzymany na sznurach i wyprężony jak struna otrzymuje 25 batów na obnażone plecy. Każde uderzenie bata, przecina mu skórę. Po takiej egzekucji plecy skazańca przedstawiają jedną bezkształtną bryłę krwawiącego mięsa



Dziewczyna abisyńska z Gombo, z prowincji Godianu.

Abisynja nie posiada praw pisanych. Wymiar sprawiedliwości jest więc tam niejednolity i zależy od najrozmaitszych okoliczności. Obowiązującą jednak zasadą jest: oko za oko, krew za krew.

Karę śmierci stosuje się za dwa przestępstwa, a mianowicie za zbrojne wystąpienie przeciwko Negusowi Negusti czyli za zdradę stanu i za zabójstwo.

Najwyższym szafarzem życia i śmierci mieszkańców Abisynji jest cesarz, nikt inny nie ma prawa dysponować życiem jego poddanych. Tylko wyroki cesarskie mają moc obowiązującą. Słuszność każe przyznać, że są one zazwyczaj sprawiedliwe i Ras Tafari stara się w swoich wyrokach być najzupełniej objektywnym.

W razie wyroku skazującego, delikwent bywa wieszany. Wykonanie wyroku należy do policji. Egzekucja odbywa się za rogatkami miasta, poczem trup wisi przez trzy dni na szubienicy.

W wypadku zabójstwa, rodzina zabitego po rozpatrzeniu sprawy przez Negusa i uzyskaniu wyroku śmierci, wykonuje go sama. Skazanego sadza się, skrępowanego na stołku, przed wylotem lufy karabinu, umieszczonego na stałej podstawie. Ażeby zwiększyć prawdopodobieństwo trafienia, od wylotu lufy do skazańca, mniejwięcej na wysokości serca, prowadzi rura. Abisyńczycy nie są bowiem dobrymi strzelcami, chcą więc mieć stuprocentową pewność trafienia.

Jeżeli zamordowanym był jakiś zamożny człowiek, wtedy rodzina uzyskuje prawo stracenia zabójcy w sposób wyrafinowany. Oskarżony może się jednak wykupić od tej kary. Prawo nawet idzie tak daleko, że cesarz odracza egzekucję, aby zbrodniarzowi dać możność „dorobienia się", tak, aby rodzina mogła otrzymać należne penale.

Przy drobniejszych przestępstwach, stosowaną jest powszechnie kara chłoty i obcinanie członków. I tak złoczyńca naprzód otrzymuje publicznie 25 batów bykowcem, a następnie obcinają mu prawą dłoń i lewą stopę. Batożenie odbywa się zawsze publicznie a tłumy Abisyńczyków z najzupełniejszą obojętnością słuchają jęków, wijącej się się z nieludzkiego bólu ofiary.

Obecnie barbarzyńskie te kary wychodzą powoli z użycia i są stosowane tylko w prowincji Karu, uchodzącej za najbardzej dziką i zacofaną. Tam oczywiście kara więzienia nie odnosiłaby najmniejszego skutku, gdyż murzyn za niczem tak nie przepada, jak za beztroskiem wylegiwaniem się i unikaniem pracy. Woli więc nawet najcięższe więzienie, niż np. robotę na plantacji. Prawo zwyczajowe liczy się z tą psychiką mieszkańców Afryki i dlatego stosuje, w stosunku do nich inne kary, może barbarzyńskie, dzikie, ale skuteczne i jedyne w tych warunkach.

BOB. MIRECKI (Addis-Abiba).

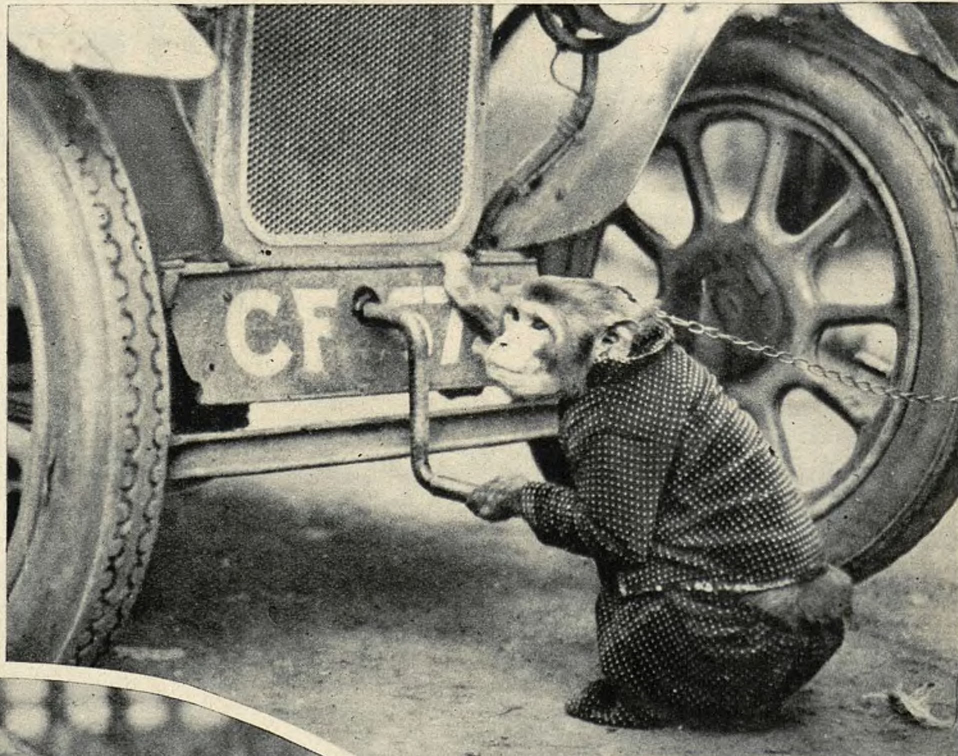


Dwór władcy Abisynji Ras Tafari'ego.

NIEMA TO, JAK WAM, LUDZIOM...



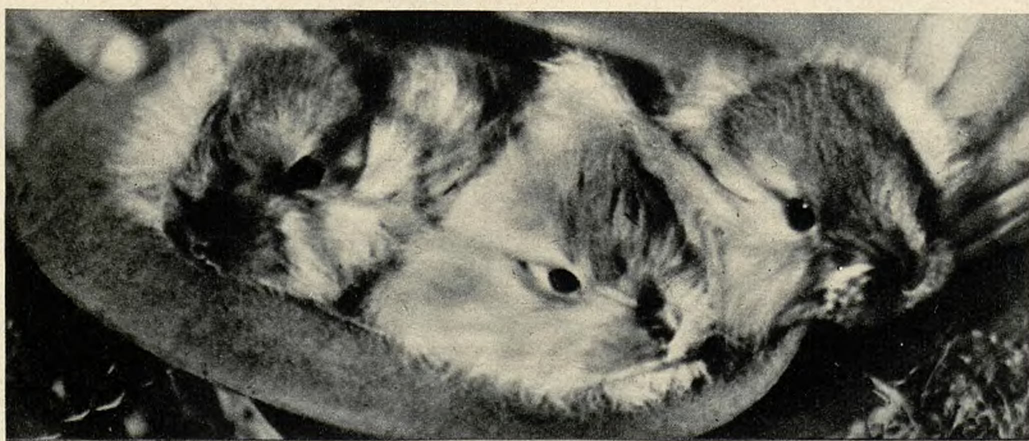
Kiedy się to skończy?



— Ach ten fundusz drogowy!



— Ja już mam dość!



— Cicho, sza, bo my się strasznie boimy...

Już mi się to wszystko znudziło. Te ciągłe rozmówki o kryzysie i o polityce. I Paweł i Gaweł i Ziuta i Niuta, wszyscy tylko narzekają, że źle i zaklinają się, że nie mają ani grosza przy duszy.

Tego zredukowali, temu obcięli, ten już ostatkami goni, ten ogłosił upadłość, ta upadła, czy to wszystko nie jest już beznadziejnie męczące? Postanowiłem wobec tego uciec od ludzi, do świata przyrody, do zwierząt. W wolnych chwilach od zajęcia nauczyłem się ich mowy, tak, że teraz i z psem i kotem i z małpką i z morsem mogę rozmówić się bez trudności.

Zaraz na wstępie nabiłem się na mopsa. Minę miał skrzywioną, że strach.

— O jo-joj, zaczął stękać, zobaczywszy mnie, kiedy się to wszystko skończy?

— Co takiego?

— No ten kryzys. Wyobraź sobie, że przedtem dostawałem na obiad ryż z cielęciną, a teraz dają mi tylko kości z kurcząt. W tym swetrze chodzę już pełnych sześć miesięcy, wogóle prowadzę psi żywot. Nie ma to, jak wam ludziom!

Pożegnałem szybko mopsa i udałem się do małpki. Zajęta była ona, mówiąc technicznie, „rozruszaniem motoru".

— Co słychać, Kiki?

— Oj źle, jęknęła. Kiedy się to wszystko skończy?

— Co takiego?

— Kryzys. Przypatrz się, jakim gruchotem muszę jeździć. Mało tego, od gruchotu tego muszę płacić kolosalny podatek drogowy. Całe szczęście, że przyszedłeś, bo pomożesz mi kręcić korbą.

Pożegnałem szybko Kiki i udałem się do psa morskiego.

— Ja już mam dość, powitał mnie, oparłszy pysk o wiadro. Widzisz, na co zszedłem. Zostałem dozorcą domowym. Ja, który byłem stworzony do zupełnie czego innego, o którym mówiono, że Bóg mnie powołał do wielkich czynów. A teraz muszę szorować schody i otwierać bramę. Marny los! A wszystko przez ten kryzys! Nie ma to, jak wam, ludziom! Taki prawdziwy dozorca człowieczego rodu, to w karcięta sobie rżnie, monopolówkę popija i wyciąga do lokatorów łapę, a ja chyba nogi niedługo wyciągnę.

Nie czekając końca tych jeremjad, uciekłem i zaraz natknąłem się na trzy króliki. Takie małe, maleńkie, siedziały w kapeluszu i trzęsły się.

— Cicho-sza, szepnęły do mnie, bo my się strasznie boimy.

— Czego?

— Jeszcze kto usłyszy, z r e d u k u j ą nas, przeniosą, względnie powiedzą, że to „my zaczęli".

* * *

Zacząłem bić głową o mur.

— Więc wszędzie ten kryzys, nawet u zwierząt...

Aby uspokoić nerwy, wziąłem wędkę i usiadłem nad rzeką, pomimo, że to grudzień.

Zaraz potem złowiłem kiełbia. Już go miałem cisnąć do wody, gdyż takich ryb nie biorę, gdy kiełb krzyknął:

— Ty, pożycz mi pięć złotych, bo mówię ci bryndza, oddam ci na pierwszego.

U c i e k ł e m, gdzie pieprz rośnie. Wrócę, gdy minie kryzys.

Jan Lankau.

Z NASZYCH KRESÓW.



Ks. Wiktor Światopełk-Mirski upolował w swoim majątku Ilstrzeż nad Dźwiną, w powiecie brasławskim olbrzymiego orła o rozpiętości skrzydeł 2 m. 9 cm. Jest to t. zw. orzeł „mogilnik", niespotykany w Polsce. Na zdjęciu ks. Wiktor Światopełk-Mirski z zabitym orłem.

WYMORDOWAŁA WSZYSTKIE SWOJE DZIECI.



Nienormalne czasy, w jakich żyjemy, powodują ogromny wzrost przestępczości. Na porządku dziennym są zbrodnie, dokonywane przez ludzi, którzy, zeszarpawszy nerwy ze szczętem wskutek kryzysu, są podatni na najrozmaitsze pokusy. Sprawia to, że zbrodniarzami stają się niejednokrotnie ludzie, którzy dotychczas żyli bez zarzutu i nie wykazywali żadnych skłonności anormalnych. Do rzędu takich wyjątkowych zbrodniarek należy także niejaka Inez Steed Clark z miasta Cherleston w stanie Illinois, która zamordowała swoich pięcioro dzieci. Na zdjęciu morderczyni, prowadzona do więzienia. Prosiła ona policję, aby zakryto jej twarz kocem, co też uczyniono.

PRZEWRÓT W LECZENIU CHOROBY BASEDOWA.



Uczony frankfurcki, prof. Blum, zastosował nową metodę leczenia, tak częstej dzisiaj choroby Basedowa, która powstaje wskutek niedomogi gruczołu tarczykowego. Prof. Blum twierdzi, że odkrył w krwi ludzkiej czynniki, które przeciwdziałają chorobie Basedowa. Sporządził więc z krwi zwierząt odpowiednie serum i podobno uzyskał zdumiewające wyniki. Naturalnie, doniesienie to trzeba traktować z jak największym sceptycyzmem, gdyż dopiero czas okaże, jaką wartość posiada ten środek leczniczy.

ELEKTRYCZNA ZAPALNICZKA.



Zapalniczki benzynowe działają doskonale — o ile ktoś ma... zapałki w kieszeni. Zazwyczaj bowiem nie funkcjonują. To benzyny niema, bo gdzieś ulotniła się, to sprężyna zepsuta, to wreszcie kamień zużył się. Wprawdzie systematycznie co kilka miesięcy pojawiają się w handlu „nowe, niezawodne" modele zapalniczek, ale rychło okazuje się, że są one tylko nowem wydaniem starych błędów i pułapką na kieszenie łatwowiernych. Obecnie i na tem polu dokonano przewrotu. W Berlinie bowiem pojawiły się zapalniczki elektryczne, w których knot benzynowy zapala iskra z baterji elektrycznej.

GDYBY ROZEDRZEĆ TE KRATY...



Z pośród dzikich drapieżników największy respekt budzi tygrys. Królewskie to zwierzę nie da się niczem ugłaskać i zawsze do człowieka odnosi się z największą nieufnością. Dlatego daleko łatwiej jest tresować lwy, aniżeli tygrysy, a zwłaszcza te, które sprowadzono świeżo z dżungli.

W niewoli zwierzęta te przez cały dzień siedzą nieruchomo w klatce, tylko wieczorem w porze karmienia, gdy poczują zapach krwi, ożywiają się i opierają swe łapy o kraty, a z piersi ich dobywa się potężny, mrożący krew w żyłach ryk. Na zdjęciu tygrysy z ogrodu zoologicznego w Sydney w Australji. Pochodzą one z wyspy Borneo.

SZKOŁA BALETOWA W CESARSKIM ZAMKU.



W zamku Laksemburg pod Wiedniem, który w historji Austrji odegrał niejednokrotnie ważną rolę, urządzono obecnie szkołę baletową gimnastyczną. Zamiast więc dyplomatów, snują się po salach zamku młode dziewczęta i uczą gimnastyki rytmicznej. Lekcje odbywają się w t. zw. sali „sankcji pragmatycznej", w której Karol VI dnia 6 grudnia 1724 r. proklamował ustawę regulującą sprawę następstwa tronu w Austrji. Na zdjęciu dziewczęta w sali „sankcji pragmatycznej" w czasie lekcji anatomji.

SYMFONJA LWOWA.



Miasto spało, spowite gnuśnym, bezwładnym snem. Kominy i dachy rysowały się dziwnemi linjami w porannej mgle. Kamienice pozbijały się w jakieś strwożone gromady. Majestatycznie wznosiły się krzyże katedry, smukle strzelały gdzieś w górę wieże kościoła Św. Elżbiety, wyróżniała się starą architekturą wołoska cerkiew, pęczniał kopulasty kościół OO. Dominikanów, a szeroko i wygodnie rozsiadł się kościół OO. Bernardynów.

Na Marjackim placu Mickiewicz, zwrócony w stronę opadającego z niebios Anioła, stał nieruchomy, skamieniały, niby zaklęty w marmur młodzian, dziecięcej pieśni z „Dziadów".

Nad blokiem kamienic i domów czuwał dostojnie ratusz, czterema tarczami zegarowemi patrzył jak światowid na cztery strony świata.

Poważny głos zegarów wieżowych mącił na chwilę nieruchomą ciszę. Nad miastem królował niepodzielnie Kopiec Unji Lubelskiej, czołem sięgał jaśniejszych sfer i pierwszy zwiastował przyjście słońca.

Mrok zwolna unosił się w górę, leniwy świt srebrzył spocone, blaszane dachy.

Pierwsze. tętno życia zadrgało na peryferjach. Gwizdy syren, nie dochodzące do centrum miasta, przecięły przestrzeń. Z domów wysypywały się szeregi postaci z puszkami, z zawiniątkami pod pachą. Dziwna mieszanina typów, poważne postacie wąsatych majstrów przewijały się obok muskularnych, kwadratowych kolosów roboczych, za stacie, z hukiem podnosiły się rolety sklepowe. Drobne początkowe gromadki ludzkie łączyły się w pokaźne strumienie. Rytm wzmagał się, potężniał, aż pełnym pulsem zatętniły arterje ulic.

Ruch pojazdów też przybrał na sile. Narożny policjant z marsową miną, kierował wszechwładną pałeczką tą strugą. Drgały smukłe kadłuby samochodów, pod wprawną ręką kierowców. Dziwne uczucie, sentymentu, czy pobłażania budził widok starych, jednokonnych doróżek, zaprzężonych w równie stare szkapy. Obok nich pyszniły się czerwone tramwaje, nie czekając sygnału policjanta, pchały się wszędzie, uzurpując sobie prawo pierwszeństwa.

Bujną strugą toczyło się życie ulicami miasta. Dziwna fantazja, czy też kaprys przyrody stworzył całe bogactwo typów. W przebogatej wstędze ludzkiej przewijała się młodość jak nić złota. — Drugi przeważający element tej strugi to ludzie poważni, zrównoważeni, pracy dla drugich, dla tych, co przyjdą po nich. Rzadziej zasrebrzy się siwy włos starca, już częściej widzi się małe, drobne postacie tych, co stoją u progu obowiązków życia. Oto mały studencik, drugoklasista, w długich przepisowych spodniach, w rogatej, barwnej czapeczce, z torbą w ręku, włóczącą się prawie po ziemi, zamyślony, rysując coś palcem po murze, podąża do szkoły. W tem wzrok jego padł na bruk, gdzie czupurne wróble toczyły zażarty bój. Przystanął, całą duszą i wzrokiem utonął w waśni dwóch przedstawicieli skrzydlatej rzeszy. I byłby tak stał, Bóg wie jak długo, gdy nagle nad głową zabrzmiał mu głos przechodzącego, starszego pana: „A idziesz ty do szkoły!" — Zdziwione, chłopięce oczęta podniosły się w milczeniu na mówiącego. W chwilę potem zniknął studencik, starszy pan skręcił w boczną uliczkę, wróble gdzieś poleciały. Pękła nić, co na moment związała to trio.

Rytm życia miejskiego przeszedł swoje maksimum, zwolna opadał, aż osiągnął pewien poziom



Na placu targowym przy ulicy Kętrzyńskiego.



Sprzedawca uliczny z Rynku. Nie opuszcza go humor, pomimo, że kupujących brak.

Ruch poranny na ulicy Halickiej.

i na nim się ustalił. Moloch miastowy pochłonął już rzekę ludzi, trawił i tuczył się ich energją, wyrzucając na świat potężne płaty ich pracy, utrzymującej i kierującej porządkiem społecznym.

Całkiem odrębne, nie mniej bogate, życie wykwitło u stóp ratusza. Rozsiadły się liczne rzędy kramów, ław i budek. Nad niemi unosił się spokojny gwar różnorodnych tonów. Głosy przekupniów, handlarek, kupujących, gęganie oburzonych gęsi, rozpaczliwe protesty wiązanego za nogi drobiu, łączyły się w jakiś dziwny, zgodny akord. „Paniusiu, ta pietruszka jak złoto!" — oponował jakiś cienki głos. „Trzydzieści groszy" — zabrzmiała kategoryczna odpowiedź. Wśród tego wirwaru, czując się w swoim żywiole, poruszały się dostojnie grube jejmoście. Właśnie dwie z nich spotkały się przy straganie. „A dzień dobry pani, tak nie mam teraz czasu, niema pani pojęcia, mój mąż proszę pani...". Po godzinie rozmówki i wzajemnem wylaniu wezbranych uczuć, znacznie uspokojone, rozchodziły się do domów.

Gwar okolił wkrąg ratusz i niby wąż jakiś, owijając swemi skrętami jego graniastą wieżę, piął się ku górze i ginął gdzieś w przestworzu.

Pulsowało, tętniło życie miasta w niewidzialnych żyłach. Ogrom gmachów złączyły dziwne węzły w jedną potworną, żyjącą masę kamienia. Zazębiały się jakieś tryby, jakaś olbrzymia machina toczyła się naprzód.

Dzień pracy dobiegł do końca. Z czeluści budynków wylewały się czarne potoki ludzi.. I znów żywiej zabiło tętno miasta.. Zwolna ciągnęły pod górę przeciążone tramwaje, rozwożąc mieszkańców na krańce Lwowa.

Centrum miasta częściowo opustoszało.

Dopiero wieczorem zaroiły się, po raz ostatni, ulice. Jakże różnym był jednak ten przypływ od obu dziennych. Bez gorączkowego, nerwowego pośpiechu, bardziej radosny i jakiś wyższy.

Blask kolorowych reklam, rozmarzone tony tanga, rytm jazzu, bawił te duże dzieci wielkiego miasta, dając im chwile złudnego szczęścia i zapomnienia. Krótkie te chwile, tem krótsze, im bardziej radosne, minęły, jak wszystkie inne, ginąc gdzieś w dali, na gwiezdnym szlaku świata.

Noc otulała czarnym płaszczem połacie miasta. Pogasły elektryczne światła, nieśmiało tliły się gazowe, narożne latarnie

niemi nikły zgarbione ciała, spaczone jednostronnością swej pracy, gdzieniegdzie znów młodociane twarze, o starczych, szarych, znużonych oczach... To dzieci przedwcześnie wprzągnięte w jarzmo codziennej pracy, nie znają blasków beztroskiego dzieciństwa, natomiast gorycz życia stała się im chlebem codziennym.

Jaśniało już dobrze. Krąg obudzonego na peryferjach życia ścieśniał się ku centrom miasta. Pierwsze furmanki z okolicznych wsi, wjeżdżały w ulice, napełniając je twardym stukiem. Po chodnikach snuły się pojedyńcze po-

Gdzieniegdzie, na ciemnem tle kamienic, błyszczało nikłe światełko, hen w górze, gdzieś na poddaszu.

Mrok ciekawie zaglądał i wciskał się przez małe okienko do niskiej izdebki, wypełniając szczelnie wszystkie kąty i naroża. Przy jednostajnym stuku maszyny krawieckiej, chyliła się szczupła postać nad fałdami materji.

I ten ostatni, słaby płomyk życia, zgasł wkrótce, zdmuchnięty powiewem nocy.

Rozległe, bezwładne jej skrzydła zawisły nieruchomo nad Lwowem...

Edward Biłobran.

» » ZDJĘCIA OLSZANIECKIEGO — LWÓW « «

KRAINA MARZEŃ.

Cicho zamykają się drzwi. Aksamit złocistej kotary spływa bezszelestnie w spokojne fałdy, za któremi pozostał cały gwar wielkiego miasta. Zdumione oczy uderza jasność kryształowych żyrandoli, odbijająca się nieskończoną ilość razy wokoło.

Sen, czy jawa?...

Od lśniącej posadzki do złoconych sztukaterji sufitu wznoszą się lustrzane ściany, a wokół nich na marmurowych postumentach, ukryte za kryształowemi szybami, skrzą się i połyskują tysiącem najszlachetniejszych ogni — brylanty, brylanty, brylanty.

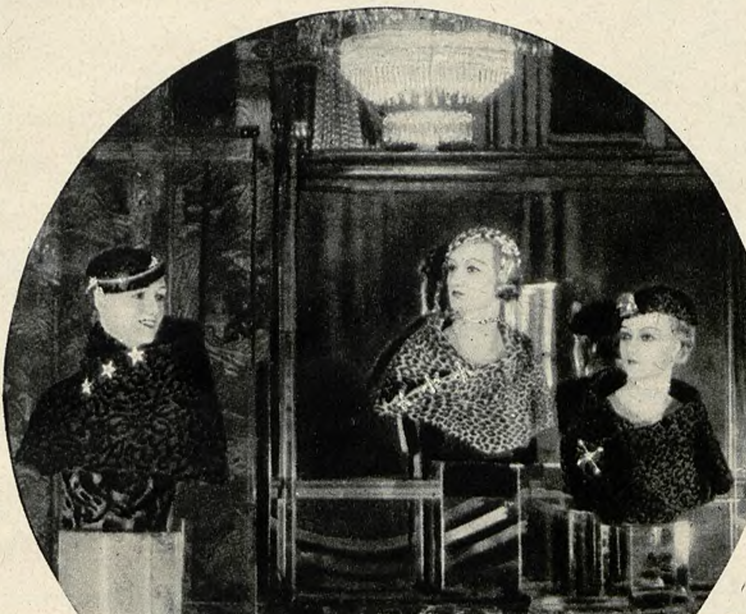
To kraina marzeń piękniejszej połowy świata — wystawa klejnotów u pani Chanel w Paryżu.

Nie można wyobrazić sobie piękniejszego pomieszczenia dla tej brylantowej biżuterji, która zachwyca oczy pięknych pań, przychodzących tu nietylko licznie, ale i często. Któraż z pań oprze się bowiem chęci ujrzenia nowych klejnotów i odbicia swej postaci w lustrzanych ścianach salonów wystawy?

Od chwili, gdy po raz pierwszy tafla spokojnej toni wodnej, odbiła obraz stojącej nad nią kobiety i kiedy zdumione jej oczy ujrzały krasę swego oblicza, trwa urok lustra nad kobietą. To też pomysł urządzenia wystawy brylantów na tle lustrzanych szyb okazał się prawdziwą atrakcją Paryża.

Zmieniają się gusta i upodobania w stosunku do klejnotów, lecz nic dotąd nie zdołało wydrzeć berła królewskiego, jarzącym od szlachetnych ogni brylantom. Tu roztaczają one swe kuszące blaski w nowoczesnej oprawie i nowych formach biżuterji. Gwiazdy, kolje, djademy i brosze, wpięte w cenne futra, zawieszone na szyi lub przytrzymujące pukle włosów — wszystko skrzy się pełnią brylantowych blasków i porywa oczy widza, wstępującego w tę krainę marzeń.

DO X.



Brylantowe spięcia zdobią futra zamiast kwiatów.



Fragment wystawy brylantów w Paryżu. Na tle ekranu z japońskiej laki widzimy piękną figurę woskową w karakułowym kołnierzu i berecie, przybranych brylantową klamrą i broszą w kształcie gwiazdy.







Garnitury brylantowe, złożone z djademów, kolij i broszy

ŚWIETLIKI-OLBRZYMY.

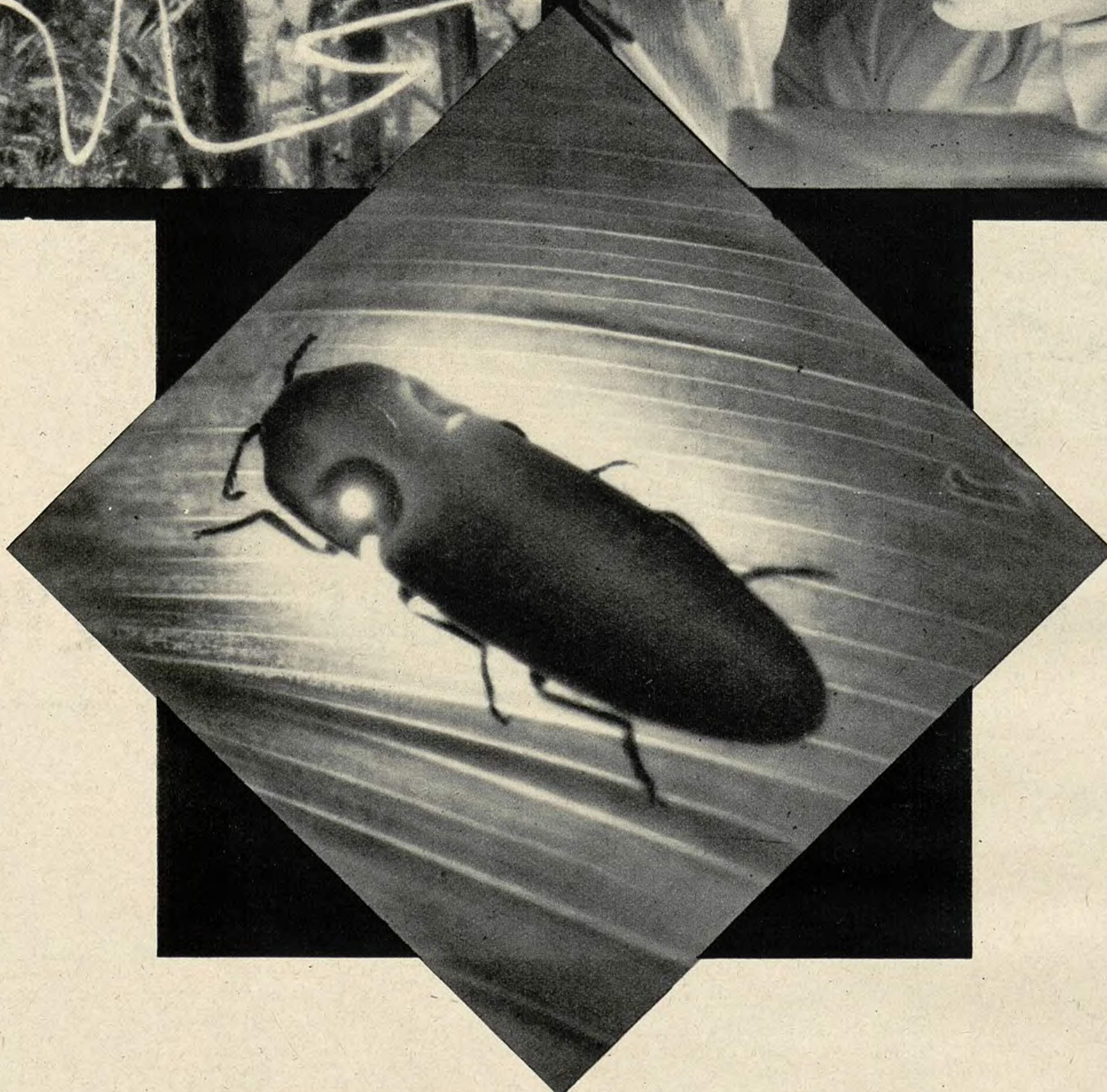


W brazylijskim lesie podzwrotnikowym o zmroku. W powietrzu unoszą się świetliki-olbrzymy, znacząc swój ślad smugą światła.



Brazylijskie świetliki-olbrzymy promieniują tak silnem światłem, że można przy niem czytać książkę.

Zdjęcia Ag. Z. Kluger & Co — Berlin.



Owad pyrophorus noctilutus, zwany w Ameryce południowej „Cucujo".

Jednym z największych cudów, jakie hiszpańskich zdobywców Nowego Świata w zdumienie wprawiały, były przelatujące z szumem, z nastaniem ciemności t. zw. „moscas del fuego", wspaniałee świetliki-olbrzymy. Znano już wprawdzie w Europie popularne robaczki świętojańskie, ukazujące się podczas ciepłych wieczorów czerwcowych. Ale światło, które promieniowało od owych amerykańskich owadów było tak silne i intensywne, że i później jeszcze budziło podziw u wszystkich badaczy. W całej podzwrotnikowej Ameryce, poczynając od bagnistych lasów dziewiczych północno - amerykańskiego półwyspu Florydy, poprzez Amerykę środkową, archipelag niezliczonych wysp morza Karibijskiego, Wielkie i Małe Antyle, aż do Brazylji i Chile na kontynencie Ameryki Południowej, oglądano z podziwem te wspaniałe świetliki - olbrzymy. Zazwyczaj są one barwy ciemno-bronzowej, lub brudno-żółtej, lecz — jak w ostatnich latach stwierdziły badania naukowe — istnieje kilkadziesiąt odmian tych chrabąszczy, żerujących w nocy na krańcach lasów dziewiczych i plantacjach trzciny cukrowej. Na plecach takiego „pyrophorus", zarówno u samca, jak i u samicy, są dwie żółtego koloru plamy, wydzielające z siebie zielono-niebieskawe światło. Lecz dopiero, gdy owady, przez tubylców zwane „cucujo", lecą w powietrzu, występuje na jaw cała wspaniałość tego światła. Gdy ich skrzydła bowiem są podniesione, pokazuje się jeszcze jedno, daleko silniejsze źródło ich światła, umieszczone na tylnym końcu ich ciała. Dopiero, gdy owady te wydadzą na świat potomstwo, organ światła zwolna zamiera.

Długi czas nauka nie umiała wytłumaczyć tych dziwnych objawów. Dzisiaj jednak wie się już, że źródłem światła u świetlików-olbrzymów są delikatne przetłuszczone tkanki, które ulegają bardzo szybko rozkładowi w zetknięciu z tlenem i wydają przytem to wspaniałe światło; zauważyć należy, że światko to jest zimne, a więc niejako urzeczywistnia ideał dzisiejszej elektrotechniki, pragnącej wytworzyć światło, nie wydające z siebie równocześnie ciepła, a zatem nie marnujące swej energji na cele poboczne.

Oczywiście współczesny zmysł praktyczny nie cofnął się przed zużytkowaniem świetlików-olbrzymów w życiu codziennem. W niektórych okolicach Ameryki środkowej, gromadzi się te owady w koszykach, tworząc w ten sposób żywe latarnie nocne. Również i modnisie amerykańskie zainteresowały się tym fenomenem natury. Kobiety miejscowe noszą te świetniki, zawinięte w cieniutką materję tiulową, jako naszyjniki, albo też jako ozdobę fryzury.

Gdy siła światła zaczyna się wyczerpywać, wystarczy zanurzyć owady w letniej kąpieli, a promienie odrazu potężnieją. Utrzymywanie świetlików przy życiu nie nastręcza ani kłopotu, ani zbytnich kosztów: żywi się je trzciną cukrową. Tak więc za cenę kilku centavos, elegantka Ameryki podzwrotnikowej może wejść w posiadanie błyszczącego klejnotu.

Wzbudzi to zazdrość zapewne u niejednej z naszych pań. Skąd bowiem wziąć u nas trzcinę cukrową? Chyba, że uda się przekonać świetliki, iż równie pożywnym i słodkim jak trzcina cukrowa jest nasz cukier w kostkach. „Cukier krzepi" — może więc i krzepić będzie w Europie świetliki-olbrzymy, ażeby nam było jaśniej na tym szarym świecie...

Pr.

KRWAWE DEMONSTRACJE W BUŁGARJI.



Policja usiłująca rozproszyć tłumy publiczności, demonstrujące w Sofji, przeciwko traktatowi w Neuilly.

Z pośród państw bałkańskich najciężej kryzysem dotknięta Bułgarja, jako kraj rolniczy, który dla swoich płodów coraz trudniej znajduje rynki zbytu. Bułgarzy są wprawdzie narodem twardym i przyzwyczajonym do niedostatku, ale długotrwałe wojny podkopały ich dobrobyt i odebrały im nadzieję lepszego jutra. Szczególnie bolesne są straty terytorjalne, jakie dotknęły Bułgarję po wojnie bałkańskiej i światowej. Bułgarja bowiem straciła na rzecz Rumunji Dobrudżę, a na rzecz Jugosławji Macedonj. Ponadto traktat pokojowy w Neuilly nałożył nieznośne ciężary finansowe na ten mały kraj, nie mający żadnych bogactw naturalnych.

Głównym produktem eksportu Bułgarji jest tytoń, owoce południowe i olejek różany, a także bydło i nierogacizna. Niestety, mury celne, stawiane i podwyższane z dnia na dzień, niemal przez wszystkie państwa europejskie, uniemożliwiają eksport tych artykułów i pogrążają w coraz większą nędzę Bułgarję.

To też w całej Bułgarji panuje ogromne rozgoryczenie, czego wyrazem były demonstracje, które odbyły się z okazji trzynastej rocznicy podpisania traktatu w Neuilly.

Szczególnie burzliwe były te demonstracje w Sofji, dokąd musiano ściągnąć rezerwy policyjne z prowincji, aby nie dopuścić do dalszych rozruchów. W starciu z policją kilkanaście osób zostało rannych.

BRUNO WINAWER.

SZKOŁY PRODUKUJĄ NIEDOŁĘGÓW ŻYCIOWYCH.

Pisma londyńskie podają sensacyjną wiadomość o nowym wynalazku, który ma wywołać poważny przewrót w fabrykacji materjałów odzieżowych. Chodzi o jakąś przędzę elastyczną, o cienkie włókno gumowe między włóknami jedwabnemi i wełnianemi. Będziemy nosili podobno ubrania trwalsze, lepiej „leżące", wiecznie „świeżo odprasowane". Ameryka się już tą sprawą żywo interesuje, Paryż prowadzi pertraktacje, Lancashire i Yorkshire pilnie śledzą rozwój wypadków.

Najlepszy to dowód, że pomysłowi technicy wciąż jeszcze nie ustają w pracy i lada dzień nawet te od lat jednakowe sukna, korty i szewioty, w które się starannie owijamy na zimę, mogą się zmienić nagle i radykalnie. Materjał sprężysty wpłynie na zmianą mody, nasze marynarki, fraczki, palta będą miały inną formę, inne desenie, połyski i inny krój...

Ileż takich przewrotów już przeżyliśmy! Konstrukcje żelazne i betonowe drapacze nieba zawojowały architekturę, wyparły dawniejsze domki secesyjne i kolumny. Autobusy toczą się ulicami miast i odbierają chleb tramwajom elektrycznym, samolot i „Zeppelin" na szynach walczą z lokomotywą, statek motorowy zmaga się z okrętem parowym, radjo i antena chcą wyrugować kabel podmorski...

Nawet rzeczy zdawałoby się tak nie naruszone, uświęcone tradycją, jak spis naszych potraw ulubionych — ulegają zmianom. Lekarze odkryli niedawno doniosłą rolę witamin w pokarmach, zwrócili uwagę na surowe jarzyny, wykazali, że można się odżywiać suto, dodatnio, obficie, a jednak zapaść wreszcie na nowy gatunek głodu — „awitaminowy"... Kuchnia przeżyła w ostatnich czasach rewolucję gwałtowną!

Jedna tylko instytucja broni się uparcie przed reformami — szkoła. Daje elewom teraz, jak dawniej, garść wiadomości z literatury, historji, zabarwi to nieco algebrą, przyozdobi geografją, ugarniruje zlekka geometrją wykreślną i zoologją — i wypuszcza wreszcie młodzieńca, który o świecie dzisiejszym i jego sprawach nic nie wie. Na najprostsze pytania odpowiedzieć nie umie, w każdej przygodzie, każdej katastrofie jest bezbronniejszy od dwuletniego dziecka. Nie wie, czemu słońce się nie spala i czemu latem na wysokich górach śnieg leży, nie wie, jak ratować zaczadzonego i jak uchronić się od kataru, nie ma pojęcia o dzwonku elektrycznym, nie wie, że zwykły kontakt, dotknięty mokrą ręką z wanny, może niekiedy spowodować poważny wstrząs nerwowy, nie zna się na motorze taksówki, mapce meteorologicznej, nie wie, skąd wiatr wieje i jak odnaleźć północ. Nie odróżnia kolorów, gatunku materjałów, nie zna się na uprawie roli, na pracy w kopalniach, bankach, warsztatach, laboratorjach, nie rozumie, czemu samolot wzbija się w powietrze. Podczas pierwszego lotu Piccarda, kiedy śmiały podróżnik zniknął razem z balonem na kilka godzin z oczu ludzkich, bardzo wykształceni i oczytani obywatele wielkiego miasta zapytywali mnie z trwogą w głosie „czy on aby nie wyleciał poza sferę przyciągania ziemi?" Nikt nie wiedział, jak daleko sięgać może atmosfera, jakie są ciśnienia na wyżynach, jakie dotąd zebraliśmy dane o oceanie powietrznym zapomocą baloników i aparatów samopiszących. Jakie to promienie kosmiczne mamy zbadać i na czem polega praca badacza?



We Wiedniu utworzono dla bezrobotnych inteligentów, ochotnicze kadry robocze. Członkowie tych kadr uczą się praktycznych zajęć, np. budowy dróg (na zdjęciu) i przekonują się z goryczą, że szkoła nie przygotowała ich praktycznie do życia.
Francis C. Fürst — Wien.

Jeden z wybitnych uczonych współczesnych, biolog prof. Juljan Henlley, zastanawia się nad metodami i programami szkolnemi w ciekawej książce i dochodzi do wniosku, iż szkoła kształci nas wciąż jeszcze na wielkorządców, wicekrólów indyjskich i tym podobnych Talleyrandów. Daje wiązankę wiadomości teoretycznych, encyklopedycznych, zaprawia do djalektyki, nie do życia praktycznego.

Można się było z tem pogodzić ostatecznie w czasach spokojniejszych, łagodniejszych. Młodzież po ośmioletniem wygniataniu ławy gimnazjalnej docierała wreszcie do krynic wiedzy konkretnej w szkołach zawodowych. Ale dziś! Nawet dorośli zmieniać muszą fach z dnia na dzień, wicher losu miota ludźmi, zmusza inżyniera, by się zajął ogrodnictwem, każe architektowi pracować na tartaku, powierza elektrotechnikowi hodowlę ryb, a bankierowi wciska w dłoń fuzję i oddaje mu opiekę nad zwierzyną leśną.

W Niemczech — pod parciem konieczności — powstają jak grzyby po deszczu, specjalne uczelnie dla nowych „osadników", emigrantów miejskich, którzy zapoznają się z metodami uprawiania ugorów, fabrykowania przetworów owocowych, osuszania błot, budowania szałasów. W miastach kolumny bezrobotnych (należą do nich akademicy, studenci) po odpowiedniem wyszkoleniu budują stadjony, a nawet imają się pracy laboratoryjnej i pomagają „rakietowcom" w ich doświadczeniach niebezpiecznych, w poszukiwaniach nowej formy bolidów technicznych.

Amerykanie przeczuli już widocznie dawniej, co się święci. Na ich wszechnicach wykładano od lat „przedmioty", które wydrwiwano — jak się okazuje, niesłusznie — w przemądrzałej Europie... Profesor piłki nożnej, albo profesorka sztuki kulinarnej w Princeton cieszyli się niemniejszem uznaniem, niż profesor filologji chaldejskiej. Dziś — szkoły średnie wprowadzają na gwałt nowe podręczniki. Jest to rodzaj „nauki o rzeczach", albo wykład o wiedzy w życiu codziennem". Jeżeli już uczymy się o „gazach", to spróbujmy sobie wyjaśnić, czemu ślizgowiec fruwa, jak spada ciśnienie w górach, jak można ugotować jajko na szczycie alpejskim, jakie są kierunki wiatrów stałych, na czem polega oddychanie. Nauczmy się czegoś o bakterjach, przeciągach, zaziębieniach. Dowiedzmy się, co higjena mówi o właściwem odżywianiu, o właściwem urządzaniu mieszkań, o odzieży. Zamiast ogólników i teoryj — poznajmy lepiej tę ustawiczną przemianę energji, która się od wieków odbywa na ziemi: poznajmy pracę ludzką, narzędzia, maszyny, drogę cywilizacji.

Przejrzałem niedawno jedną z takich świetnych, rozsądnych, pożytecznych książek szkolnych...

Nawet fatalny kryzys gospodarczy będzie miał niebrzydką kartę w historji: zmienił nasz przestarzały pogląd na „wykształcenie". Ma zasługę poważną.

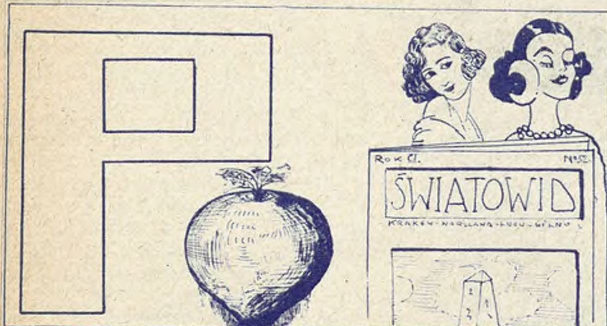
Szarada.

(Uł. L. Ciesielski — czł. Warsz. Kl. Szar.).

Raz-drugie się jakoś czujemy **ośm** świecie...
W lepszą przyszłość bowiem straciliśmy wiarę,
Bieda wciąż i troska jak kamień nas gniecie —
Więc **czwarte-trzynaste** nasze smętne, szare...
Wkrótce się znajdziemy już w zimy uścisku;
Dziewiątym, co mają na czarne djamenty,
Będzie miło w **siódmym-szóstym** przy ognisku —
Lecz ci co nie mają... szepcą: los przeklęty!...
Na całym **dwunastym-siódmym** źle **trzy** dzieje:
W Londynie głodowe rozruchy wzrastają;
A o polepszeniu — płonne są nadzieje —
Głodni więc w szeregach komunizmu stają.
W sowieckim zaś raju, mimo nędzy, głodu
Walka wre z **dziesiątem-jedenastem** świętem
Słowem i z religją!... Oto dla narodu
Udręka duchowa w ich państwie przeklętem...
Chińczycy wzajemnie **trzy** biją, mordują —
Nie **raz** więc, że w walce padają jak muchy!
Jedni z nich w bandyckich pomysłach przodują,
Drudzy wywołują w kraju swym rozruchy.
Raz-ósma historja jest dzisiejszej doby;
Raz-drugie się jakoś na **dziewiątym** świecie
Wszystko **szóste-piąte**'... I pomyślał ktoby
Że się takich czasów doczeka?... — Lecz wiedzcie,
Że wysokie **Drugie-dziesiąte** łaskawe
Na wszystkie, okrutne, złe ludzkie przewiny,
Choć w **dwunastym-piątym** całym życie łzawe —
Bóg się pobłażliwie patrzy na te czyny...

Rebus... damski.

(Nadesłany z Warsz. Kl. Szar. — uł. J. S.).



Za rozwiązanie powyższych dwu zadań redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 17 grudnia 1932 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 47.

SZARADA: Bogate dary jesieni.

REBUS: Potęga Polski to morze — pamiętaj o tem!

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 47 nadesłali:

J. Szarfenberg, Kalisz; M. Soroko, Wilno; Ambr. Sawicki, Ostróg; „Stella", Łask; „Helenka" z Prokocimia; Wł. Chmiel, Kraków; I. Wajsfeld, Pińczów; „Wiślanka", Warszawa"; Z. Pomianowski, Radom; M. Haninówna, Lwów; J. Krasucka, Skarżysko-Kamienna; B. Morawski, Katowice; J. Pniewski, Warszawa; H. Arciuszkiewiczowa, Grodno; St. Karkuszewski, Równe; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Ir. Marcinkówna, Kraków; J. Maziarz, Ozorków; L. Pogoda, Jaworzno; Wł. Pochmarski, Lwów; M. Łakota, Zawiercie; Z. Kotlarska, Kraków; Wład. Gajowa, Poznań; „Mar-do", Kraków; Z. Żukowa, Jędrzejów; Frnc. Świerczek, Krków; D. Herbstmanówna, Warszawa; W. Tyński, Będzin; J. Ściborówna, Kraków; Kaz. Stróżak, Kraków; W. Nowacka, Poznań; G. Bartoszewska, Poznań; Kaz. Cytarzyński, Łódź; **Tadeusz Kosiński, Skierniewice (zł. 30.—)**; Z. Fonferko, Przemyśl; L. Antonowczowa, Równe; J. Kaz. Popek, Gdynia; M. St. Seifertówna, Gdynia; Eug. Broniewski, Ostrowiec Kielecki; M. Strubel, Warszawa; Eug. Wernikowska, Sandomierz; W. Dadejowa, Warszawa; St. Mucha, Kraków; A. Klohes, Kraków; St. Jabłoński, Prokocim; H. Schmidtówna, Warszawa; Franc. Krajewski, Warszawa; Natalja Sobolewska, Lublin; F. Krajewski, Warszawa; Cz. Kaszubska, Sieradz; „Apollo", Ozorków; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Cz. Kozłowski, Warszawa; „Wilnianin", Dubno; Janek S., Warszawa; Sz. Rybczyk, Rzeszów; J. Czerwiński, Kowel; Z. Rytel, Zajezierze; T. Trąbczyński, Łódź; Z. Książczakowa, Warszawa; St. Maltze, Warszawa; J. Krosnowski, Warszawa; J. Ruta, Wieluń; **Ludmiła Żyburówna, Kraków (zł. 20.—)**; M. Adamczyk, Węgrów; Cz. Brożek, Nowy Targ; Emerytka, Wilno; Ir. Popiołkówna, Pabjanice; M. Szewiakowa, Wilno; M. Altenberger, Łódź; Zb. Zakrzewski, Poznań; T. Cieszewski, Wilno; M. Wroński, Pińsk; L. Neczuja-Ihnatowicz, Gdynia; E. Riedlówna, Warszawa; „Joteł"; St. Effert, Poznań; ks. Klementowski, Tarnopol; D. Piekosińska, Brzezowiec; A. Piekosińska, Brzezowiec; Wład. Ossowski, Poznań; W. Czernikowa, Chełmno; E. Brzozowska, Warszawa; Grenicheux, Warszawa; A. Rotter, Kraków; Zb. Block, Poznań; Em. Kochmańska, Kraków; Al. Kuczewska, Warszawa; T. Hebdowski, Ostrów; St. Mikowska, Warszawa; Z. Tietrz, Warszawa; **Bochniak, Tarnobrzeg (zł. 10.—)**; M. Wysocka, Tarnów; por. M. Wondraczek, Warszawa; Janusz, Warszawa; J. Rogoski, Warszawa; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś; K. Łabużek, Kraków; F. Rumian, Kraków; H. urowicz, Kraków; W. Gadowski, Kraków; Miecz. Górka, Kraków; W. Tyblewski, Poznań; A. Borowicz, Poznań; Kar. Przyłuska, Warszawa; dr. J. Gerstenfeld, Drohobycz; B. Ramułtowa, Jeżów; Zdz. Fischbach, Września; T. Sobecki, Poznań; R. Schützowa, Poznań; L. Boroński, Kraków; St. Biesiada, Ozorków; Kaz. Wesołowski, Kalisz; M. Niekraszówna, Wilno; Jawnuta, Słonim; H. Zadarmowski, Dubno; Miecz. Koselnik; L. Glaszmidt, Warszawa; J. Chłosta, Chełmno; A. Szmytowa, Poznań; Jadwiga Świerczyńska, Lwów; L. Korga, Lublin; W. Kortylewicz, Poznań; Kaz. Wiszniowski, Radom; W. Orloff, Czernica; „Dzikuska"; L. Siniłło, Góra Kalwarja; Jan. Klimaszewska, Stary Sącz; Jaśka Kalasiewiczówna, Kraków; J. Englert, Lwów; Kaz. Kalinowska, Lwów; St. Tulej, Pińczów; Czytelnik T. S. L., Wegierska Górka; R. Mendrala, Rzeszów; H. Mendralowa, Rzeszów; J. Janczewski, Wilno; J. Tyblewska, Poznań; R. Więckowski, Warszawa; W. Rogalska, Kraków; J. Kłosiński, Łęczyca.

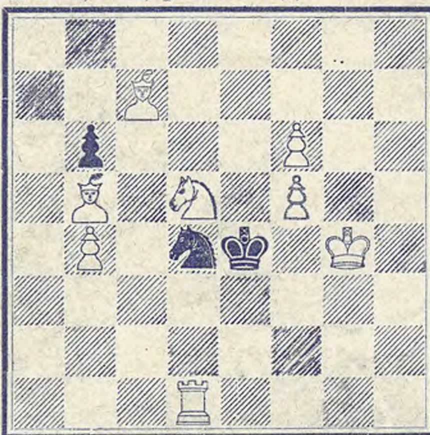
W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Tadeusza Kosińskiego, Skierniweice (zł. 30.—), Ludmiłę Żyburównę, Kraków (zł. 20.—) i Bochniaka, Tarnobrzeg (zł. 10.—).

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

W. Finlayson („Wiener Extrablatt" 1926).

Czarne: Ke4, Sd4, pion: b6 (3).



Białe: Kg4, Wd1, Gb5c7, Sd5, piony: b4, f5, f6 (8).

3-chodówka 8 + 3 = 11.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki W. Finlaysona:

1. G—g3!

I. 1... K×d5 2. K—f4 K—d6 3. K—e4×;
II. 1... S×b5 2. G—f4 S— 3. S—c3×;
III. 1... S—e2 2. G×b5 3. G—f3×
IV. 1... S— 2. S—c3+ K—e3 3. W—d3×.

PARTJA.

Białe: **Dr. M. Euve** Czarne: **R. Reti**

gfana w Holandji w pojedynku w r. 1926.

Gra 2 skoczków w obronie.

1. e4 e5	13. S×e4 f×e4
2. S—f3 S—c6	14. Wa—d1 **(9)** G—d6! **(10)**
3. G—c4 S—f6	15. H×h8 H×g5
4. d4 **(1)** S×d4 **(2)**	16. f4 **(11)** H—h4
5. 0—0 **(3)** S×e4! **(4)**	17. W—e4 **(12)** G—h3!'
6. W—e1 d5	18. H×a8 G—c5+
7. G×d5 **(5)** H×d5	19. K—h1 G×g2+
8. S—c3 H—a5 **(6)**	20. K×g2 H—g4+
9. S×d4? **(7)** S×d4	21. K—f1 H—f3+
10. H×d4 **(8)** f5	22. K—e1 H—f2×.
11. G—g5 H—c5!	
12. H—d8+ K—f7	

UWAGI:

(1) Inne sposoby gry: 4. S—g5 4. S—c3 i 4. d3.

(2) 4... S×e4? jest mniej korzystnem wobec 5. d×e5!

(3) Dawniej grywano: 5. e5 d5 6. G—b5 S—e4 7. S×d4 i po G—c5! Czarne osiągnąć mogły doskonałą grę.

(4) Najprostsza i najlepsza obrona. 5... G—c5 6. e5 d5 7. e×f6 d×c4 8. W—e1 prowadzi do warjantu „ataku Langego" niezupełnie przez teorję wyjaśnionego.

(5) Warjant Canala: 7. S—c3? (patrz „Kuryer szachowy" Nr. 5 (336) ex 1932) został obalony: d×c3! 8. G×d5 G—e6! 9. G×e4 G—b4' (9. W×e4? Sc—e7!!) 10. b×c3 S×d5.

(6) Najlepiej. Posunięcie Möllera od czasu partji Bogolubow — Reti (Sztokholm 1919) stało się modnem.

(7) Błąd. 9. S×e4 lub 9. W×e4 powinno nastąpić.

(8) Jeśli 10. W×e4 lub 10. S×e4 to S—e6.

(9) 14. W×e4? G—f5!

(10) Piękna kombinacja'

(11) 16. H×h7 G—f5 17. h4 H—g4 wygrywa.

(12) Białe nie mają już obrony wystarczającej 17. g3 G—c5+ 18. K—h1 G—g4! 19. We—f1 H—h5 (lub poprostu Wa×d8) itd.



Centrala największej i najszczęśliwszej w Polsce Kolektury J. Wolanow w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 154, w dzień przed ciągnieniem oblężona przez tłumy graczy.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 50 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 10-go grudnia 1932 r.*

Cyklameny — kwiaty grudnia.

Piękny okaz fiołka alpejskiego, mieszańca wyprodukowanego już w Polsce z odmiany francuskiej i niemieckiej

Grudzień. — Zima objąwszy w swe posiadanie góry, zstępuje powoli w niziny, aby pokryć jednolitą bielą śniegu zamarłą przyrodę. Niezadługo mróz zetnie spoczywającą ziemię, zamieniając miękkie zorane skiby w zwały skalne. Wilgotne mgły otulają szarzyzną swą nasze miasta. Przenikają nas nawskróś nieustannemi dreszczami, spływając po nagich obumarłych drzewach wielkiemi kroplami ku ziemi.

Człowiek jednak, w swej ustawicznej walce z przyrodą, w swojem zamiłowaniu żyjących roślin nie dał za wygraną. Na wąziutkiej przestrzeni swych opalonych mieszkań i cieplarni, wyczarował on najpiękniejszą zieleń, najładniejsze kwiaty, radując się tym skrawkiem żyjącej przyrody, wydartym wszechpotężnej naturze.

Okna rzęsiście oświetlonych kwiaciarni są też o tej porze pełne różnych roślin, a prym między niemi wodzi fiołek alpejski (cyclamen), roślina bardzo chętnie nabywana, szczególnie w okresie świąt Bożego Narodzenia, dla upiększania we wigilję zastawionych stołów. Produkują je też dziesiątkami tysięcy ogrodnicy we wszystkich większych miastach.

Jak sama nazwa wskazuje, rośnie fjołek alpejski dziko w Europie w rozpadlinach skalnych Alp. Jest to roślina zupełnie podobna do tych, które widzimy hodowane w doniczkach w szklarniach i mieszkaniach. Różni się tylko tem, że kwiatki ma może mniej misterne, drobne i pachnące o delikatnej przyjemnej woni.

Ogrodnicy hodują przeważnie odmianę perską fiołka alpejskiego (Cyclamen Persicum), która rośnie dziko w Persji, Grecji i Palestynie. Roślina to niezwykle piękna, a zarazem wdzięczna gdyż kwitnie przez całą zimę.

Kwiaty, do złudzenia przypominające motyle, są różnokolorowe. Obok białych występują wszystkie odcienie barw między różową a ciemnoczerwoną. Istnieją również i odmiany z kwiatami białemi, naznaczomi czerwonemi plamami.

Rośliny to obecnie bardzo modne, a rozpowszechnienie ich jest w zupełności uzasadnione, gdyż hodowla ich w mieszkaniu jest nadzwyczaj prostą.

Przy odpowiednich zabiegach można fiołki alpejskie przechowywać długie lata i co roku rozkoszować się temi wspaniałemi kwiatami.

Konrad Fuglewicz.

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".



Szklarnia z fiołkami alpejskiemi. Znajduje się w niej 1200 okazów.

CZARUJĄCY DEMON.



Wschodząca gwiazda ekranu Tals Birell (na zdjęciu) łączy w sobie wdzięk i urodę z demonicznością. Ostatnio występowała ona w afrykańskim filmie »Nagana« i z tej racji ubrana jest w branzolety złote, ofiarowane jej przez króla ... władcę szczepu Masai.

Fot. Ray Jones.